Nr. 9. Warszawa, dnia 3 Marca (19 Lutego) 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWE JĘZYKI INTERESU.

Od paru tygodni sprawa zbożowa zapanowała wszechwładnie w polityce. W Niemczech jest przedmiotem nieustających dociekań, polemik i zabiegów: to ziemianie wołają w niebogłosy z powodu podpisanej przez rząd umowy handlowej, to żywioły miejskie spieszą z wypowiedzeniem swoich sympatyi, to wreszcie pojedyncze dzielnice Rzeszy niemieckiej kłócą się z sobą i targują o taryfy i „dowody tożsamości.“ A po nad sporami Bawaryi i monarchii pruskiej, po nad zgrzytem zębów obywatelstwa ziemskiego i zabiegami rządu celem zjednania większości w sejmie ogólno-związkowym na na rzecz traktatu z Rosyą, góruje kwestya polityczna: Niemcy w następstwie rozwoju ekonomicznego zostały wyzute z niezależności politycznej, bo w wypadku wojny muszą liczyć się z dowozem zboża i zapewnić sobie odpowiednich sprzymierzeńców, którzy ochronili by je od niebezpieczeństwa głodu i rokoszów ludności, pozbawionej chleba. Opuszczamy Włochy, które stoją obecnie w przededniu nowej taryfy zbożowej i wywołanych tą sprawą starć ze swoimi sojusznikami i zwrócimy się do Francyi.

Samolubstwo francuskiego robigrosza jest znane. Mieliśmy kiedyś w ręku pamflet, dowodzący, że królikowie bawełniani tego kraju z najwyższą radością przyjęli wieść o zabraniu przez Niemcy dzielnic nadreńskich. Może to podejrzenie jest oszczerstwem, ale odsłania sprężyny czynów mieszczaństwa francuskiego. Systematycznie, na ołtarzu interesu materyalnego, geszefciarz tamtejszy składa w ofierze przyszłość ojczyzny, odcina ją od reszty świata i pogrąża w nicości politycznej. Francya dała pierwsza hasło do wojny celnej z Włochami, która z biegiem czasu doprowadziła do takiego wzajemnego rozgoryczenienia i poniekąd popchnęła siostrzycę zaalpejską w objęcia trójprzymierza. Ona to, niepomna na polityczne interesy kraju, podniosła rękę na solidarność wymienną ze Szwajcaryą i stargała węzły wzajemnej sympatyi, siejąc w drobnej rzeczypospolitej niechęć ku sobie. Pozostała Rosya, nadsyłająca ostatnimi czasy bardzo znaczne transporty pszenicy do Marsylii. I znowu robigrosz francuski targnął się na przyjacielski stosunek z tem mocarstwem, żądając obłożenia cłem dowozu zboża. Co go to obchodzi, jaka przyszłość oczekiwać może jego ojczyznę, byleby tylko dziś brzęczało w kieszeni złoto! O te zwiększone cła protekcyoniści dopominali się oddawna. A nie myślmy, ażeby ceny zboża we Francyi stały na jakimś nadzwyczaj nizkim poziomie. Bynajmniej! Mamy pod ręką porównawczą ich tabelkę cen na rynku paryzkim, oraz zagranicznych. Nigdzie one, a zatem ani w Berlinie, Antwerpii, Wiedniu lub Londynie, nie przedstawiają się tak pomyślnie dla rolnika. Leroy-Beaulieu, który świeżo zabrał głos przeciwko dalszemu wyszrubowywaniu taryfy celnej i w imię przyszłości politycznej zaklina protekcyonistów, ażeby ojczyzny nie strącali w przepaść odosobnienia, oświadcza, że rodzina, złożona z pięciorga osób, dzięki obecnie istniejącemu cłu, opłaca ziemianom rocznie 92 franków niepotrzebnego haraczu, w przyszłości zaś, kiedy dojdzie do skutku projektowana podwyżka, będzie uiszczała aż 148! W całej przeto pełni w żądaniu podniesienia ceł na zboże przemawia klasowe sobkostwo. Rząd walczył z tym prądem, ożywiającym większość izby, lecz w końcu uległ. Do tego przyczyniły się inne jeszcze okoliczności. Namiętności społeczne zaczynają wrzeć we Francyi bardzo silnie, a co ważniejsza, nie poprzestają one, jak było dotychczas, na miastach, ale masowo wdzierają się w życie wiejskie i fermentem skrajnie opozycyjnym zarażają głowę zachowawczego Jacques Bonhomme'a. Podniesione cła mają rozlać wdłuż i wszerz kraju większe dochody z drobnej osady włościańskiej, wzmocnić wiarę w dobre chęci rządu śród gromad wiejskich i przerwać dalsze rozpowszechnianie się jadu radykalnego.

Ż.

Z NIEMIEC.

Berlin, 27 lutego.

Z powodu traktatu handlowego. — Lekcya psychologii. — Konkursy historyczny i dramatyczny.

Tak tedy traktat handlowy złożony już został na stole prezydyalnym sejmu niemieckiego. Trzeba przyznać, że działano w ostatnich tygodniach z gorączkowym pośpiechem, niezwyczajnym w kraju tak biurokratycznym, jak Prusy. Jakkolwiek główna akcya „interesów“ rozpocznie się teraz dopiero i na trybunie parlamentarnej stoczy się niejeden turniej pustych, albo z góry wiadomych frazesów — dzisiaj już można uważać zgodę za fakt spełniony. Jeżeli bowiem przyjrzeć się bliżej grupom sejmowym i rozpatrzeć interesy, które spoczywają na spodzie całej walki partyjnej i kierują postępowaniem szermierzy na zewnątrz, to okaże się w ostatecznym re ultacie, że tylko partyi wielkich właścicieli ziemskich, najwsteczniejszej i najwstrętniejszej rzeszy junkrów wschodnio-pruskich, zależeć może na niedojściu do skutku długich, półrocznych prawie układów. Ale tutaj pono osobista interwencya cesarska zrobiła swoje: zatkała wszystkie otwory, którymi sączyły się pomyje, jakiemi oblewano Capriviego i wszystkich przyjaciół ugody, a ukrytą żółć zmieniła na miód cudowny. Niedarmo Wilhelm II na obiedzie parlamentarnym u kanclerza w długiej przemowie starał się wpłynąć na zgromadzonych „landlordów.“ Nazajutrz zwiastowano, że cudotwórcza oliwa słów królewskich uspokoić umiała spienione „bałwany“ namiętności bankrutów. Nie przeszkodziło to jednak, ażeby w kilkanaście dni później odbył się tutaj zjazd

„związku ziemian,“ na którym stanowisko „osobiste“ zaznaczone zostało dobitnie. Jest tu więc oczywista sprzeczność pomiędzy deklaracyą bezwzględnej uległości dla tronu i dla woli monarszej i pamiętaniem ciągłem a wytrwałem o własnym interesie. Gdy cesarz z właściwą sobie swadą raz jeszcze starał się dać do zrozumienia *sic volo, sic jubeo* — junkrowie spuścili oczy, ale nie spuścili z dawnego tonu. Współczesny historyk niemiecki umie nam objaśnić tę sprzeczność bardzo odpowiednim obrazkiem faktów, a przedewszystkiem „ziarnkiem mądrości,“ które streszcza w sobie dzieje owej partyi, walczącej w tej najnowszej walce na — języki pod sztandarem „monarchizmu, chrześciaństwa, ojczyzny“: „Der König absolut, wenn er unsern Willen thut.“ Tak było już za czasów prawodawstwa Stein-Hardenberga, gdzie dochodziło do otwartej opozycyi junkrów, tak było przy nadaniu wolności chłopstwu pruskiemu; tak było w 1848 roku, kiedy za ich wpływem przywołano na ratunek rządów kontrrewolucyę; tak było wreszcie w r. 1866 przy budowaniu „jedności“ niemieckiej. Z drugiej jednak strony „głodni agraryusze,“ których zdrowe, księżycowopełne i rumiane oblicza oglądaliśmy niedawno tutaj — wiedzą dobrze, że opozycya ich przepadnie tym razem wobec milczenia parlamentu, głuchego na ich skargi. Po cóż więc tyle wrzawy, po co tyle jątrzących wysokie sfery manifestacyj? Przyczyny dość proste. Wiadomo powszechnie, że nikt w takim stopniu, jak ci nieszczęśliwcy, nie posiada daru udawania „zarzynanej ofiary“ wtedy, gdy im kto zaniepokoi nieco — odciski. Jest w tem wcale roztropna taktyka polityczna. Wszak zyskać zawsze można. Niedawno z powodu „małych traktatów“ uderzyli w bęben bojowy, nie wiadomo dlaczego i w jakim celu; oczywiście chodziło tutaj o napędzenie strachu rządowi przy traktacie handlowym z Rosyą. Może więc i teraz spadnie coś ze stołu cesarskiego. Gra w każdym razie warta świecy!

Gdyśmy niedawno wspominali na tem miejscu o niewolnikach, dostarczanych przez firmę hamburskich kupców, nie przypuszczaliśmy, że dziś znowu dotknąć nam przyjdzie tej bolączki afrykańsko-niemieckiej. Już w koloniach rozegrał się ten ostatni epizod tragiczny: żołnierze, rekrutowani z ludności tubylczej, nie otrzymywali dostatecznego wynagrodzenia, żony żołnierzy ujęły się krzywdy mężów, za co zostały sromotnie i zwierzęco obite na rozkaz dowódcy, poczem powstanie przybrało rozmiary zatrważające i doprowadziło do ruiny kolonii. Toczy się obecnie śledztwo w tej sprawie, niemiłej rządowi — a miłej oczywiście innym wspólnikom t. zw. podziału Afryki: francuzom, anglikom, ale przed kilku dniami podniesiono ją z całym aparatem dowodów na mównicy parlamentu, a nawet złożono na stole prezydyalnym kilka nadesłanych mu egzemplarzy batogów kameruńskich, używanych przy poskramianiu płci słabej. Nie było już humorystyki, lecz zgroza i wstyd.

Rozegrane zostały — a przynajmniej miały być rozegrane — niedawno dwa konkursy, jeden historyczny, drugi dramatyczny. Na pamiątkę tysiącoletniego obchodu traktatu w Verdun ustanowioną została w r. 1843 nagroda tysiąca talarów, wypłacana co pięć lat za najlepsze w tym czasie ogłoszone dzieło historyczne. Komisya, złożona z członków akademii i profesorów uniwersyteckich, przeznaczyła tym razem nagrodę prof. Syblowi, autorowi ostatniej pięciotomowej historyi powstania państwa nowo-niemieckiego, cesarz jednak odmówił potwierdzenia tej uchwały, jakkolwiek Sybel jest dyrektorem archiwow państwowych, a jego lojalność przed pięciu laty jeszcze była tak niezbitą i pewną, że pozwolono mu korzystać z aktów historycznych aż do r. 1870 (rzecz niezwykła i niebywała). Tymczasem dzisiaj za „przecenienie“ Bismarka (cesarz odmówił swego podpisu jeszcze przed pogodzeniem się z żelaznym księciem), za nabożne notowanie każdego słowa „wielkich“ budowniczych wielko-niemieckiego korabia — tajny radca Sybel dostaje po uchu. Chorągiewka w tych naszych czasach jest tak niespokojna, że podpatrzeć jej sprężyn tajnych nie mogą nawet ci, którym natura ofiaruje kilka silniejszych zmysłów, niż zazwyczaj, a jeden zupełnie odrębny, na który niema, zdaje mi się, określenia jednowyrazowego, ale który znajdziemy wszędzie, gdzie panuje „karyera.“

Jeszcze ciekawsze są losy innego konkursu dramatycznego. Jest to nagroda tej samej wielkości, co i poprzednia, ustanowiona w setną rocznicę narodzin Schillera i nosząca też nazwę „Schillerpreis.“ Wiadomo, jak jałową jest literatura dramatyczna niemiecka doby ostatniej; zaledwie utwory Hauptmanna — i to wcale nie wszystkie — odbijają od pustynnego tła konturami ożywczej oazy. Zdecydowano się więc ostatecznie na *Talisman* L. Fuldy, sympatycznego, dość rzewnego niekiedy poety. Osnowa tej sztuki jest udramatyzowaną bajką Andersona o „nowym płaszczu królewskim,“ którego głupi i źli ludzie widzieć nie mogą, a więc widział go i podziwiał cały świat, aż wreszcie drobne, niewinne dziecię odważyło się powiedzieć, że „król niema nic na sobie.“ Byłaby to może satyra, ale ostrożny autor pośpieszył dodać, że bajkę swą sceniczną ułożył już przed siedmiu laty, tj. w czasie, gdy nie mówiono jeszcze o „nowym kursie.“ Mimo to cesarz, któremu przedstawiono decyzyę do podpisu, rozdarł ją, a sekretarzowi komisyi, prof. Er. Schmidtowi, zwrócono strzępki papierowe z uwagą, że „Fulda jest jeszcze zbyt młodym.“

Zen. Por.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nie wiadomo, czy już Włochy doczekały się wreszcie wielkiej reformy i wielkiego reformatora swoich finansów, przedstawiony wszakże parlamentowi jej rozległy plan przez Sonnina ma wiele pozorów i takiego człowieka. Według obliczeń tego ministra, niedobór skarbu w r. 1894/5 wynosić będzie 177 milionów franków; dług państwa przytem dosięga pół miliarda, renta spadła do 72 fr. itd. Słowem, prawie bankructwo. Jakże mu zapobiedz? Sonnino proponuje: oszczędności, nowe podatki, przekształcenia administracyjne i podniesienie opłaty od renty państwowej o 6½%. Z tych źródeł mają wpłynąć miliony, niezbędne do pokrycia niedoborów i zobowiązań kredytowych.

---

3)

Gerhart Hauptmann.

Dróżnik Thiel.

Ciemno było, jak w grobie, chciał spojrzeć w stronę drzwi, nie wiedząc dokąd się zwrócić. Chwiejąc się, wstał, a lęk trwał jeszcze. Las szumiał niby bałwany wzburzonego morza, wicher gradem i deszczem rzucał w okna budki. Thiel bezradnie macał wokoło rękami. Przez chwilę miał uczucie tonącego, aż tu nagle strzeliło coś jasnym, niebieskim płomykiem, niby drobina jasności nadziemskiej, która pada w ciemną atmosferę ziemi, aby w niej zagasnąć.

Chwila ta, choć krótka, zdołała jednak przywrócić strażnikowi przytomność; pochwycił szczęśliwie latarkę i w tejże sekundzie na skraju nieba zbudziła się burza, wyrzucając z początku stłumione, powstrzymywane ryki, staczające się potem w krótkich, niespokojnych falach, aż wreszcie, urósłszy w siłę, zaczęła napełniać przestrzeń hukiem, drganiem, szumem.

Szyby zadzwoniły, ziemia zatrzęsła się.

Thiel zaświecił lampę, a odzyskawszy panowanie nad sobą, rzucił przedewszystkiem okiem na zegar. Zaledwie pięć minut brakowało do nadejścia pociągu pośpiesznego. Myśląc, że sygnału nie dosłyszał, pobiegł z możliwą szybkością ku baryerze; zamykał ją właśnie, gdy rozległ się dzwon sygnałowy. Wicher rozdzierał dźwięki, rozrzucając je na wszystkie strony. Sosny gięły się, z przykrym trzaskiem i piskiem trąc wzajem o siebie gałęzie. Na chwilę wyjrzał księżyc, zawieszony wśród chmur niby jasno-złotawa czara. W jego świetle widać było wdzieranie się wiatru w czarne korony sosen. Liście brzezin, przy torze, unosiły się i powiewały, niby straszące ogony końskie. Pod niemi biegły linie szyn, które, błyszcząc od wilgoci, miejscami wchłaniały światło księżyca.

Thiel zerwał czapkę z głowy; deszcz sprawiał mu ulgę, mieszając się ze łzami, ściekał po jego twarzy. Mózg przerabiał niejasne a goniące się wzajem wspomnienia sennych widziadeł. We śnie wydało mu się, jakoby ktoś znęcał się nad Tobiaszkiem, a to w sposób tak straszny, że na myśl o tem i teraz jeszcze krew w żyłach mu zamierała. Inną postać przypominał sobie wyraźniej. Widział żonę nieboszczkę, która nadeszła skądś — zdaleka, idąc wciąż po torze, wyglądała chorowicie, zamiast sukien miała na sobie łachmany. Minęła budkę Thiela, nie oglądając się nawet za nią, wreszcie — to wspomnienie bladło — z wielkim trudem zaczęła kroczyć dalej, potknąwszy się kilkakrotnie. Thiel natężył myśl i wymiarkował sobie, że uciekła. Tak, bez wątpienia, bo i dlaczegóż w przeciwnym razie spoglądałaby z taką trwogą za siebie, i wlokła się dalej, mimo że nogi usług już odmawiały. Ach, te straszne spojrzenia!

A w rękach niosła jeszcze coś chustami zwiniętego, coś wiotkiego, krwawego, bladego, wzrok zaś, jakim na to spoglądała, przypominał mu sceny z przeszłości.

Przypominał mu konającą kobietę, która nieruchomie patrzyła na ledwie zrodzone dziecię swoje z wyrazem najgłębszego bólu, niezmierzonej męki, z takim wyrazem, że Thiel nie mógł go zapomnieć, zarówno jak ojca i matki.

Gdzie zniknęła? Nie wiedział; pojmował tylko jasno, że się go wyrzekła, że go wyminęła, powlókłszy się dalej w ciemną, burzliwą noc. Wołał ją: „Minno, Minno!“ — i zbudził się.

Dwa krągłe, czerwone światła, niby wytrzeszczone ślepie olbrzymiego potworu, przeszyły ciemności. Szedł od nich krwawy cień, który w obrębie swoim krople deszczu na krople krwi zmieniał. Zdawało się, jakoby nie deszcz, lecz krew padała z nieba.

Thiel stał przerażony, a lęk jego rósł w miarę zbliżania się pociągu; sen i rzeczywistość zlewały się w jedno. Wciąż jeszcze widział kobietę, kroczącą po szynach, ręką szukał ładownicy, jak gdyby zamierzał wstrzymać w biegu pędzący z szalonym pośpiechem pociąg. Na szczęście było za późno, bo już przed oczami jego zamigotały światła i pociąg piorunem minął.

Pozostałą część nocy Thiel spędził niespokojnie. Ciągnęło go coś do domu. Tęsknił za Tobiaszkiem. Zdawało mu się, jak gdyby od lat wielu z dzieckiem był rozłączony, wreszcie śród rosnącej obawy

Byłoby z naszej strony przedsiewzięciem zbyt śmiałem, gdybyśmy chcieli poddać krytyce ten olbrzymi rachunek, który nawet dla wielu posłów włoskich jest labiryntem. Tu nie wystarcza samo logiczne rozumowanie, lecz potrzeba znajomości ogromnego materyału, jaki przedstawiają siły ekonomiczne każdego narodu. Na projekt Sonnina uderzono wieloma zarzutami, sprawił on jednak wrażenie zarówno we Włoszech, jak za granicą. Śród mnóstwa poprawek i wniosków warto podnieść żądania, zwrócone bezpośrednio do króla, ażeby naśladując ojca, zrzekł się na korzyść narodu swej listy cywilnej, wynoszącej 12 milionów lirów. Jak tam musi być kuso, kiedy poddani dobierają się już do szkatuły swego monarchy.

Obrady nad traktatem handlowym z Rosyą rozpoczęły się już w sejmie niemieckim. Naprzód wystąpił przeciw niemu przywódca konserwatystów (rolników), Mirbach, który w długiej mowie usiłował dowieść, że układ ten grozi krajowi takiemi plagami, jakich nie doświadczył Egipt za czasów biblijnych. Odpowiedział mu podsekretarz stanu Marschall i kanclerz Caprivi. Obaj oni uwydatnili sobkostwo przeciwników, a zarazem rozpaczliwe położenie przemysłu, który straciwszy jeden z największych rynków świata, ginie bez ratunku. Rosya — według obu tych mówców — może osobnemi taryfami zrujnować Niemcy. „Dziesięć lat pokoju celnego — rzekł kanclerz — to tyleż lat pokoju politycznego.“ Mniej lub więcej wyraźnie starał się on wpoić w słuchaczów przekonanie, że odrzucenie traktatu pociągnęłoby za sobą okropne skutki. Z pomocą rzecznikom rządowym pośpieszył przywódca postępowców, Richter, który, jak zwykle, walczył nietylko dowodami, ale i szyderstwem. Mimo to rząd nie ma jeszcze zapewnionej większości, gdyż przechylenie szali na jedną lub drugą stronę zależy od centrum.

Partya, pozbawiona już dziś zdolnych przewodników, święcie przechowuje tradycye przebiegłej taktyki swego mistrza Windhorsta, tj. naprzód osłania swe stanowisko mgłą i przy pierwszem czytaniu projektu nie zobowiązuje się do niczego, napomyka tylko, że gotowa jest do targu i sprzedaży swych głosów za odpowiednie ustępstwa. Dotychczas więc w tej sprawie zaledwie wróżyć można — a zdaniem naszem, rząd ostatecznie zwycięży.

Licznemi starciami podniecony zatarg między Izbą gmin a Izbą lordów w Anglii, zyskał nowe podrażnienie z powodu billu o reformie zarządów parafialnych. I tu lordowie chcieliby się oprzeć, ale życzliwe głosy ostrzegają ich, ażeby nie wyzywali burzy, która już i tak przeciw nim się sroży i może ich zmieść. Podobno gladstoniści byliby bardzo zadowoleni z ich opozycyi w tym wypadku, gdyż ukuliby z niej nową broń dla silnej już dziś agitacyi, żądającej zburzenia tej starej i szkodliwej rudery.

Francya zbiera ciągle podrzucane bomby i urządza łowy na anarchistów, których poważny zastęp już uwięziła. Pomimo to, zamachy wciąż się ponawiają.

Milan, ulegając naciskowi opinii publicznej, opuszcza Serbię, w której panuje ciągle tłumione wrzenie, coraz bliżej przysuwające myśl o zniesieniu konstytucyi.

BADANIA NAUKOWE.

KILKA UWAG O POPULARYZOWANIU WIEDZY.

Przed kilku laty rozmawiałem z pewnym uczonym chemikiem, wówczas profesorem jednego z uniwersytetów zagranicznych, o uprzystępnianiu ścisłej wiedzy i ku wielkiemu zdziwieniu usłyszałem z ust jego zdanie, iż praca popularyzatorska nie powinna wchodzić w zakres działalności badacza, który pragnie ściśle pracować w swej specyalności.

Niestety, nie jest to zdanie jednostki, ale wielu bardzo ludzi nauki o ciasnym widnokręgu. Ograniczoność ich dochodzi do tego, że często wartość naukową badacza obniżają nieco jedynie tylko dlatego, że on jest popularyzatorem!

Wszelako najszersze umysły, zwłaszcza za granicą, nie poprzestają na pracy gabinetowej i na ogłaszaniu swych rozpraw w czasopismach specyalnych, lecz za pomocą publicznych odczytów i popularnych dzieł lub broszur, dążą nietylko do pogłębiania wiedzy, ale i do rozszerzania jej na masy. Oto ich nazwiska: Huxley, Karol Vogt, Ernest Krause (Carus Sterne), Rudolf Virchow, Tyndall, Helmholtz, Faraday, Hoffmann, Ray Lankester, Haeckel, Preyer, William Marshall, Foster i wielu, wielu innych. Są to nazwiska mężów, którzy w wysokim stopniu przyczynili się do postępu wiedzy, którzy stanowili nawet poniekąd erę w rozwoju pewnych jej gałęzi, a którzy jednocześnie tak wspaniale umieli ją popularyzować.

Jestem przeciwnikiem ciasnego poglądu, iż badania naukowe powinny przedewszystkiem mieć na celu zaspokajanie materyalnych potrzeb ludzkości. Nauka musi dążyć do zbadania i wykrycia prawdy, do zrozumienia otaczających nas zjawisk, bez względu na pożytek praktyczny, jakkolwiek spełniając to zadanie, czyni ona tem samem zadość w znacznej mierze celom utylitarnym, albowiem postęp wiedzy czystej jest najgłówniejszym warunkiem rozwoju stosowanej. Z drugiej atoli strony samo poznawanie prawdy przynosi korzyść bezpośrednią dlatego, że urabia coraz właściwszy pogląd na otaczający nas świat, a od jego właściwości zależy zapatrywanie człowieka na cały jego byt, tem samem i na możność krytycznego sądu o położeniu oraz dążeniu do czegoś lepszego. Niema teoryi mniej, zdawałoby się, związanej z praktycznymi interesami człowieka, niż teorya Kopernika, a jednak jakże potężnie wpłynęła ona na dążenia ducha ludzkiego, zmieniając nawskroś dawniejsze błędne mniemania. Otóż wychodząc z tego stanowiska, tj. upatrując w nauce potężny czynnik, kształtujący ogólne zapatrywania człowieka na byt i na przyrodę, musimy przyznać olbrzymią doniosłość cywilizacyjną popularyzowaniu wiedzy, albowiem przez nie wielkie prawdy, zdobyte mozolną pracą uczonych, stają się dorobkiem szerokich mas ludzkości.

Chodzi teraz o to, co popularyzować i w jaki sposób?

---

o zdrowie chłopca kilkakrotnie chciał opuścić służbę.

Aby czas zabić, postanowił zbadać tor, gdy tylko świtać zacznie. Wkrótce też z kijem w lewej ręce, z długim kluczem szrubowym — w prawej, zaczął chodzić po szynie, przedzierając się przez brudno-szary zmrok.

Deszcz i wiatr ucichły, z pośród rozdartych chmur przezierał tu i owdzie szmat blado-błękitnego nieba.

Monotonne uderzenia butów o twardy metal w połączeniu z sennym szumem otrząsających się z wody drzew powoli uspokoiły Thiela.

O szóstej rano zwolniono go, bezzwłocznie też skierował się ku domowi.

Wschodził przepyszny poranek niedzielny, chmury rozpłynęły się, zasłonięte skrajem widnokręgu. Słońce, niby olbrzymi, jak krew purpurowy kamień, rzucało istne masy światła na gęstwinę. Snopy promieni wdzierały się ostremi liniami w gąszcz konarów, już to żarem obrzucając kępkę delikatnych paproci, o liściu do cienkich koronek podobnym, już srebrzysto-szare mchy zmieniając na korale.

Z wierzchołków pni i traw płynęła ognistej barwy rosa. Potop świetlny zalewał ziemię. Była w powietrzu świeżość, która aż do serca wnikała; to też i w wyobraźni Thiela nocne widziadła powoli, stopniowo zblednąć musiały.

Z chwilą zaś, gdy wszedłszy do pokoju, zobaczył Tobiaszka w łóżeczku, przez słońce opromienionem, z więcej, niż zazwyczaj, zarumienioną twarzyczką, widziadła owe pierzchły zupełnie.

Prawda! W przeciągu dnia kilkakrotnie wydał się Lenie trochę dziwnym. Tak naprzykład w kościele, gdzie zamiast w książkę, z pod oka na nią spoglądał; potem i w południe, gdy słowa nie mówiąc, zdjął z rąk małego Tobiaszka, którego, jak zwykle, wynieść miał właśnie na ulicę i na jej kolanach posadził. Zresztą był takim, jak zawsze.

Thiel, który w dzień nie spał wcale, o dziewiątej już położył się do łóżka. Zasypiał właśnie, gdy żona oświadczyła mu, że nazajutrz z nim razem pójdzie do lasu, aby ziemię obrobić i kartofle zasadzić.

Thiel drgnął; sen uciekł mu z powiek, oczu jednak nie otwierał.

— Wielki już czas — mówiła Lena — jeżeli ziemniaki te wogóle mają być na coś zdatne; dzieci zabrać trzeba, ponieważ prawdopodobnie cały dzień na pracy tej zejdzie.

Dróżnik bąknął kilka niezrozumiałych słów, na które ona zupełnie uwagi nie zwróciła. Stała plecami do niego odwrócona, rozwiązując przy świetle łojówki sznurówkę i spódnicę.

Nagle obejrzała się, sama nie wiedząc dlaczego i spotkała się z ziemistą, przez namiętność wykrzywioną twarzą męża, który, podniósłszy się do połowy, z rękami opartemi o poręcze łóżka, utkwił w niej nieruchomie rozpalone źrenice.

— Thielu! — zawołała napół gniewna, napół przerażona.

Jak lunatyk, zbudzony brzmieniem swego imienia, oprzytomniał, wyjąknął kilka niejasnych wyrazów, zakopał się w poduszki i kołdrę na uszy naciągnął.

Lena podniosła się nazajutrz pierwsza. Bez wrzawy porobiła potrzebne do wycieczki przygotowania. Małego ułożyła w wózku, poczem zbudziła i ubrała Tobiaszka. Dowiedziawszy się, dokąd pójdą, chłopczyk uśmiechnął się. Thiel podniósł się dopiero, gdy wszystko było gotowe i kawa stała już na stole. Na widok poczynionych przygotowań uczuł przedewszystkiem niezadowolenie. Chętnie byłby się im jeszcze sprzeciwiał, nie wiedział jednak, od czego zacząć? I jakiż mógłby podać powody, wystarczające dla Leny?

Powoli, coraz więcej promieniejąca twarzyczka Tobiaszka tak zaczęła oddziaływać na Thiela, że gwoli bodaj radości, którą dziecko na myśl o wycieczce tej objawiało, nie mógł już myśleć o oporze. Niepokój jednak nie opuszczał go w drodze.

Tobiaszek był niezwykle wesoły, w brunatnej swojej, pluszowej czapeczce skakał pomiędzy paprociami, usiłując, w trochę co prawda niezgrabny sposób, chwytać szklarki, kołyszące się na liściach. Kiedy stanęli na miejscu, Lena natychmiast zabrała się do roli. Woreczek z kartoflami, które przyniosła na zasiew, rzuciła na murawę, przyklękła i przesypała garść ciemnego piasku przez twarde palce.

Thiel spoglądał na nią z niepokojem.

— Więc jakaż jest?

— Dużo lepsza, niż kąt nad Sprea!

Ciężar spadł mu z piersi. Obawiał się, że będzie niezadowoloną.

Niektórzy mniemają, że przedstawienie szerszej publiczności bardzo ogólnych wyników nauki nietylko nie przynosi pożytku czytelnikom, ale nawet jest wprost szkodliwem. Twierdzą oni, że niepodobna rozumieć tych wyników, gdy się nie zna całego zasobu szczegółów faktycznych, na których podstawie one powstały. W istocie krytycznie i dokładnie pojmować może pewne teorye tylko ten, kto zna drogi, po których nauka postępowała dla osiągnięcia tych rezultatów, ale twierdzić, że wogóle teorye są niedostępne dla warstw szerszych i niewykształconych, znaczyłoby to samo, co powiedzieć, że tylko ten ocenia piękny krajobraz, roztaczający się ze szczytu góry, kto własną stopą po przepaścistych urwiskach wydostał się na jej wierzchołek.

Najtrudniejszą syntezę naukową można przedstawić szerszemu gronu czytelników, wykładając ją umiejętnie, a pisma, zwłaszcza angielskich popularyzatorów, najlepszym są tego dowodem.

Szkodliwość przedstawiania czytelnikom ogólnych wyników nauki widzą niektórzy w tem, iż publiczność dogmatycznie uczy się przyjmować pewne uogólnienia, które w rzeczywistości opierają się niekiedy na nader kruchych podstawach i prędzej czy później, wskutek nagromadzających się nowych faktów, upadają; w ten sposób szerzą się błędne teorye, bałamucące często ogół czytający. Że tak istotnie bywa, o tem wątpić niepodobna, ale tu znów wina spada nie na rzecz samą w zasadzie, lecz na indywidualizm popularyzatorów, którzy sami nie umieją krytycznie danych teoryj ocenić, a tem mniej krytycznie je wyłożyć.

Jednym z najgłówniejszych powodów, dla których pewne uogólnienia przedstawiane bywają w formie nazbyt dogmatycznej, jest chorobliwe za naszych czasów uganianie się tak piszących, jako też czytających za „najnowszemi“ teoryami, za „ostatnimi wynikami nauki.“ Publiczność zanadto dosłownie bierze zwykle dowcipne wyrzeczenie Heinego, iż karzeł na głowie olbrzyma więcej widzi, niż olbrzym, że każda teorya, jeśli jest tylko najnowszą, jeśli ma inne po za sobą, prześciga je w rzeczywistości. Tymczasem wcale tak nie jest, a ileż mamy przykładów w historyi nauki, że dawne teorye, pogrążone w pyle czasu, przygniecione brzemieniem nowszych i, zdawałoby się, lepszych, zmartwychwstawały i wywalczały znów sobie prawo obywatelstwa w nauce.

„Ostatnie słowo nauki — powiada trafnie p. Stanisław Kramsztyk w swych *Szkicach przyrodniczych* — ma dla nas urok szczególny, stało się frazesem ulubionym; jest to ułuda, że najnowsze odkrycie i hipoteza najświeższa za umiejętność całą starczą, że wiedzę poprzednią strącają jak rupiecie bezużyteczne. Ułudę tę podsyca żywy ruch nauki dzisiejszej, szybki jej rozwój, zdobycze olśniewające; głównie wszakże źródło jej stąd płynie, że do oceny postępów wiedzy zbyt słabo miarę historyczną stosujemy. Na dzieje nauki uwagę niedostateczną zwracamy.“

Historyczne traktowanie przedmiotu w pracach popularnych — to warunek niezbędny, jeśli mamy na względzie rzetelną korzyść czytelników, jeśli nie pragniemy wpajać w nich zasad dogmatycznych, lecz dostarczać im zdrowej strony duchowej. Na wielką doniosłość historycznego traktowania wszelkich odkryć i teoryj naukowych zwracają uwagę najzdolniejsi popularyzatorowie, a jednak pomimo to jakże często zasada ta bywa pomijaną!

Historya wiedzy — powiada jeden z biologów naszych — rzuca jasne światło na obecne jej stanowisko i pozwala nam zgłębić prawdziwe jej cele i dążenia filozoficzne. Niestety, dziś, kiedy każda gałąź wiedzy ludzkiej tak bardzo jest rozległa, kiedy gruntowne zapoznanie się z najogólniejszemi jej zasadami wymaga tak wiele czasu i pracy, historya nauki traktowaną bywa często po macoszemu. Dzieje jej uczą nas, z jaką ogledością przyjmować należy wszelkie teorye naukowe i jak krytycznie zapatrywać się trzeba na fakty, poniekąd nieulegające już wątpliwości. Najpiękniejsze systematy, potwierdzane mnóstwem faktów, upadały jedne za drugiemi, podcinane nieubłaganem ostrzem ducha dalszych poszukiwań. Nie znając dziejów, przyjmujemy nieraz zdobycze nauki bez należnego krytycyzmu, a wtedy wiedza staje się dla nas poniekąd podobną do jakiegoś wierzenia religijnego, natomiast znajomość dziejów nauki wskazuje błędność i kruchość zbyt pochopnych uogólnień i pozbawia nas dogmatyzmu, zawsze szkodliwego.

Aż litość bierze niekiedy, gdy widzimy, jakiego rodzaju „nowe prawdy“ i „nowe kierunki“ daje się za pokarm duchowy biednej publiczności w popularnych artykułach. Podobnie jak chore umysły p. Prusa *et consortes* na podstawie kilku sztuk kuglarskich głoszą nową erę w nauce, tak też w mniejszym stopniu inni pseudo-uczeni, niemający dostatecznego wykształcenia przyrodniczego, ani też krytycznego sądu w kwestyach naukowych, z wielką łatwością i naiwnością biorą często za pewnik różne „fakty,“ wobec których prawdziwy uczony bardzo się zawaha. Jakże więc smutny przedstawia obraz wiedza popularyzowana przez podobne jednostki; ileż głupstw i niedorzeczności wkrada się do szpalt pism, czytanych przez szeroki ogół lub też do książek popularnych, a to wszystko dlatego, iż do pióra biorą się przyrodnicy lub nieprzyrodnicy, pozbawieni krytycyzmu naukowego, tego najniezbędniejszego warunku umysłu popularyzatora. Ale takie ocenianie teoryj, a w równej mierze i „faktów“ naukowych, nie jest tak łatwem, jak to się niejednemu na pozór wydaje. Trafnie powiada Huxley, że „fakty w naukach przyrodzonych uważane zwykle za bezwarunkowo wierne, są prawdziwe tylko w stosunku do środków spostrzegania i do stanowiska tych, którzy je opisali.“ Ten sam fakt może być zupełnie inaczej zrozumiany i opisany przez kilku różnych badaczów, a bezwzględność jego należy przeto przyjmować zawsze *cum grano salis*. Każdy badacz „spogląda na dane zjawisko przez własny swój pryzmat“; należy przeto zawsze pamiętać o tem, na jakiem tle fakty bywają przedstawiane, a zwłaszcza objaśniane. W jaki jednak sposób możemy wyrobić w sobie krytycyzm w ocenie materyału naukowego? Otóż głównie przez to, że sami go zdobywamy, że sami walczymy z trudnościami ścisłej obserwacyi naukowej i sami się przekonywamy, jak niezwykle trudnem jest ścisłe i dokładne stwierdzenie faktu. Przeto ludzie, którzy sami są badaczami, wiedzą dobrze o tem, jak ostrożnie operować

Zjadłszy śpiesznie grubą kromkę chleba, zrzuciła kaftan i chustkę i zaczęła kopać z szybkością i wytrwałością maszyny. W pewnych odstępach czasu wyprostowywała się i głęboko oddychała — zawsze jednak tylko na chwilę, chyba że trzeba było nakarmić malca.

— Muszę obejść tor, zabiorę Tobiaszka — zawołał po niejakim czasie dróżnik z platformy budki.

— Co znowu! — odkrzyknęła — a kto przy małym zostanie? Zaraz mi tu przychodź! — dodała jeszcze głośniej, podczas gdy dróżnik oddalał się z Tobiaszkiem.

W pierwszej chwili rozważała, czyby ich nie gonić, wstrzymał ją od tego jedynie żal straty czasu.

Tymczasem Thiel szedł z Tobiaszkiem wzdłuż toru; dziecko było bardzo wzruszone, wszystko wydawało mu się nowem, nieznanem. Chłopczyk nie pojmował, co znaczą wązkie, czarne, przez słońce ogrzane szyny, pytał bezprzestannie, dziwiąc się najbardziej dźwięczeniu słupów telegraficznych. Thiel znał tony wszystkich w swoim rewirze, z zamkniętemi oczami wiedziałby zawsze, w jakiej znajduje się stronie. Częstokroć przystawał, słuchając czarownych dźwięków, które płynęły z drzewa niby melodyjne chorały z wnętrza kościoła. Słup na południowym skraju rewiru brzmiał szczególnie pełnym i pięknym akordem. Był w nim jakiś natłok tonów, które dźwięczały bez przerwy, jednym ciągiem. Tobiaszek zaczął biegać wokoło tego zbutwiałego drzewa, chcąc przez otwór jakiś dostrzedz sprawców miłego dzwonienia. Dróżnika ogarnął pobożny nastrój. Nadto po niejakimś czasie wyraźnie odróżniał ton, przypominający mu głos nieboszczki żony. Wyobrażał sobie, że to chór dusz zbawionych, w którym i ona śpiewa — a myśl ta rozbudziła w nim tęsknotę, wzruszenie aż do łez.

Tobiaszek zapragnął kwiatków, rosnących na uboczu — Thiel uległ jego życzeniu, jak zawsze.

Zdawać by się mogło, że na płaszczyznę zarośla opadły płachty błękitnego nieba, tak przedziwnym gąszczem pokrywało ją niebieskie kwiecie. Motyle, niby chorągiewki barwne, fruwały i igrały bez szmeru po błyszczącej, białej korze pni, podczas gdy blado-zielone korony brzóz drgały cichym szelestem.

Tobiaszek miał kwiatki, ojciec przyglądał mu się, dumając. Od czasu do czasu podnosił oczy, starając się dojrzeć przez szpary między liśmi niebo, które niby olbrzymia, nieskazitelnie błękitna, kryształowa czara podchwytywało złocistą jasność słońca.

Matka wciąż jeszcze kopała, gdy Thiel powrócił z Tobiaszkiem. Połowa była już obrobiona.

Pociągi następowały po sobie w krótkich przerwach czasu. Tobiaszek za każdym razem przyglądał się szalonemu ich biegowi z szeroko otwartemi ustami.

Obiad, składający się z ziemniaków i resztki zimnej wieprzowiny, spożyli w budzie. Lena była w dobrym humorze, a i Thiel usiłował zastosować się do sytuacyi. Podczas jedzenia zabawiał żonę różnemi rzeczami z dziedziny swego zawodu.

Przed obiadem Lena skończyła kopanie; po obiedzie chciała sadzić ziemniaki. Uparła się, aby Tobiaszek doglądał teraz dziecka i wzięła go ze sobą.

— Uważaj — wołał na nią Thiel, zdjęty nagłą trwogą — uważaj, żeby się zanadto do szyn nie zbliżył.

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

Dano sygnał nadejścia szlązkiego pociągu pośpiesznego. Thiel musiał się udać na posterunek. Zaledwie stanął przy baryerze, usłyszał szum zbliżającej się maszyny.

Pociąg był już widocznym — posuwał się naprzód — w niezliczonych, goniących się wzajemnie kłębach rozbijał się dym z czarnego komina. Wtem: jeden — dwa — trzy mleczno-białe promienie pary — i powietrze roznosi świst maszyny. Trzy razy, raz po razie, świst krótki, ostry, trwożący. Hamują — myśli Thiel — ale dlaczego? I znowu rozległo się przeraźliwe świstanie na trwogę, tym razem jednak nieprzerwanym ciągiem.

Thiel posunął się naprzód, aby spojrzeć po torze; mechanicznie wyciągnął z futerału czerwoną chorągiewkę, podnosząc ją przed siebie, wprost ponad torem.

— Jezu Chryste! czyżby oślepł? — Jezu Chryste — o Jezu, Jezu, Jezu Chryste! — cóż to? Tam! — tam pomiędzy szynami... Sta-ać! — zawołał ze wszystkich sił. Za późno; ciemna jakaś masa dostała się pod koła, które rzucały nią niby piłką gumową. Jeszcze kilka chwil — pociąg stanął.

(D. n.).

należy z t. z. faktami i jak krytycznie oceniać oparte na nich teorye.

(D. n.).

Dr. H. T. Rozicki.

MROZY POD ZWROTNIKIEM*).

Okolice Kantonu, jak wiadomo, stanowią najdalej ku równikowi wysuniętą, bo aż za zwrotnik przechodzącą granicę opadów śnieżnych i mrozów na nizinie; naturalnie, iż zjawiska te na swej skrajnej granicy muszą występować nie każdego roku, a przytem zwykle słabo. Otóż rok ubiegły 1893 odznaczył się niezwykłem w tych okolicach spotęgowaniem owych zjawisk.

W dniach 8 i 9 stycznia srożyła się w północnych Chinach straszna burza śniegowa, która przeniosła się następnie do Chin południowych; po 12-ym stycznia spadł w Szanghai (pod szerokością Aleksandryi) śnieg tak obfity, jakiego nie pamiętają tam najstarsi ludzie. Śnieżyca ta posuwała się ku południowi, poprzedzana deszczem; 16 i 17 spadł śnieg dalej na południu w Amoy (przedtem padał tu deszcz), w Honkong ($22\frac{1}{2}^0$ szer.) zaś padał wtedy deszcz, który przy zniżającej się temperaturze od 3 do $0{,}5^0$ przeszedł w gołoledź, a w niektórych miejscach zmieszał się z gradem; następnie temperatura spadła poniżej zera. Woda w kałużach i naczyniach pokryła się lodem, a powyżej 140 m. nad pow. morza nastąpił osobliwy szron: gałęzie i liście drzew zostały oblepione przezroczystym lodem; była to widocznie gołoledź z przechłodzonych kropel deszczu, które po spadnięciu natychmiast zamarzały; druty telegraficzne opadły pod ciężarem lodu, drogi pokryły się tak gładką skorupą, iż komunikacye zostały przerwane. Śnieg jednak nie padał w okolicach Honkongu nawet na wysokości 550 m., gdzie temperatura spadła do 5^0, tylko grad, a raczej krupy, podczas gdy równocześnie śnieg padał w nieco dalej na północ leżącem Amoy (około 24^0 szer.); zdaje się więc, iż krupy te są południową formą śniegu. W Swatau, leżącem na samym zwrotniku, nie było też śniegu, dopiero na przyległej górze około 200 m. wysokiej, ale gołoledź wystąpiła silnie, na końcach liści palmowych (kokos) potworzyły się sople lodowe na $3\frac{1}{2}$ cala długie, na okrętach stojących w porcie pokłady i liny pokryły się lodem.

Tak surowa zima, wyjątkowa dla tych okolic zwrotnikowych, sprowadziła na nieprzygotowaną ludność wiele klęsk: na ulicach miast zmarzło kilkudziesięciu żebraków (w Szanghai, Nankinie, Suczau) i wiele dzieci ludzi ubogich; wielu wartowników, pilnujących pól w lekkich chatach z bambusu i słomy. Wielu ludzi zginęło wskutek załamywania się lodu na kanałach i jeziorach; między innemi utonęło razem 15 uczniów, czem przerażony nauczyciel, powiesił się w klasie. Ubodzy ludzie też często sami odbierali sobie życie. Kra na rzekach zatopiła wiele statków wraz z ludźmi. Dachy zapadały się pod pokrywą śniegu (w Ningpo). Wiele domów padło ofiarą pożarów, gdyż z powodu zamarznięcia wody nie można było ognia ugasić. Wiele bydła zginęło również. Z powodu utrudnienia komunikacyi ceny wielu przedmiotów podniosły się gwałtownie. Biedni, którzy uszli mrozu, umierali następnie z głodu, jakkolwiek ludzie prywatni i rząd starali się przychodzić nieszczęśliwym z pomocą; wykluczano tylko stanowczo trędowatych, aby skorzystać ze sposobności zmniejszenia ich liczby.

Działanie na rośliny i zwierzęta podzwrotnikowe i zwrotnikowe było po części zabójcze. Wielkie plantacye bananów pod Kantonem zostały zniszczone, trzcina cukrowa pod Swatau a nawet bambus w Honkongu wiele ucierpiały, podczas gdy palmy w tej ostatniej miejscowości okazały się wytrwalszemi. Mimoza pudica utraciła znaczną część swej czułości. Ze zwierząt ucierpiały szczególniej owady.

W. N.

*) Ob. Dr. F. Ratzel, „Schnee und Eis in Südchina im Januar 1893“ w *Peterm. Mitteil.*, 1894, zesz. I.

LITERATURA I SZTUKA.

EMANCYPANTKI.

II.

Rzuca się w oczy pewna właściwość w obu większych powieściach Prusa. Autor niekiedy, ni przypiął, ni przyłatał, wyprowadza na scenę „wielkie“ idee przyrodniczo-filozoficzne. Wypowiada je zwykle jakaś podrzędna postać, swojem wyznaniem wiary zajmująca w utworze nieproporcyonalnie wiele miejsca. W dawniejszej powieści widzimy chemika, obiecującego zupełny przewrót w naszych poglądach na istotę materyi wszechświata. W nowszej — tym ptakiem, szybującym po nad padołem codziennego krótkowidztwa w sferze zagadnień transcendentalnych, jest stary nauczyciel Dębicki. Autor zamieszcza rozciągnięty na wielu stronicach traktat o wieczności każdej naszej myśli, która niezniszczalnem życiem drgać będzie pośród niezmierzonych przestworów eteru, o zagadce stosunku ducha a materyi, ba! o czem tam nie ma mowy! Przyznam się, że czuję osobiście jakąś słabość ku tym wywodom Prusa, ale zarazem muszę przyznać, że w powieści są one tak samo na miejscu i takie same czynią wrażenie, jak owa grupa trzech nagich niewiast, którą bohater Zolowskiego *Oeuvre* pomieszcza na obrazie, mającym przedstawiać Sekwanę pod jednym z mostów paryskich. W głowie naszego autora utkwił jakiś ćwiek metafizyczny, który wydobywa się przy każdej sposobności, chociażby nie całkiem odpowiedniej. Ale o to mniej nam chodzi. Istnieje inna okoliczność, zbyt charakterystyczna, ażebyśmy mieli o niej zamilczeć, która odciska wyraźne piętno na utworach Prusa. Niepodobna bowiem nie spostrzedz, że z owemi wielkiemi ideami natury metafizycznej łączą się bardzo drobne, kiedy odwrócimy oko od sfery transcedentalizmu i skierujemy je na typy zwykłych ludzi, chcących poruszać się w deptaku życia codziennego. Wokulski, a teraz Solski — są to ludzie, w których czaszkach gnieżdżą się zgoła nie orle myśli. A jednak oddajmy każdemu, co mu się słusznie należy. Ów Wokulski, obłąkaniec, sądzący, że pustkę wewnętrzną można trwale zapełnić przy pomocy spódniczki, ów Solski, włóczący się niby błędny rycerz po świecie, zasobny w mienie po praojcach, które zwolniło go od popychania taczki codziennej, cóż to za dzielne temperamenty! Wprawdzie zjawia się w mojej głowie pytanie, co byłoby z nimi, gdyby im zabrakło banknotów w kieszeni, pieniądze bowiem w ich ręku są niby śmiecie, a że nie zostają bankrutami, dzieje się to tylko dlatego, że Prus raczył obdzielić ich niemal czarodziejską właściwością, do której tak wzdychali alchemicy i jeszcze bardziej ich potężni opiekuni — robienia złota ze śmieci. Jego bohater posiada zawsze dzielną naturę, niestety ujawniającą się przedewszystkiem w szczodrej i dziecinnej rozrzutności. A wewnątrz pustka, przeraźliwa pustka. Cóż bowiem te energiczne postacie robią? Solski uskarża się: „Być wiecznym kandydatem na przewodnika, gdzie nikt nie potrzebuje przewodnika, gdzie nikt nie potrzebuje przewodników. Oto nowożytny tantalizm!“ Niekiedy ktoś powiewa przed oczami miotającego się w bezczynności bohatera sztandarem idej — drobnych: pokazuje mu „z góry“ małe czyny, tj. poetyzuje je. Cukrownia w przekonaniu Solskiego jest potwornym młynem, w którym mielą się ludzkie istnienia, ordynarną machiną do wyciskania dywidendy z buraków. Dębicki tymczasem nawraca go na inną wiarę — idej „wróbelkowatych.“ „U nas nikt nie chce rozwijać swojej siły twórczej za pomocą budowania małych wróbelków, które przecież są organizmami żywymi, lecz koniecznie życzy sobie na własną rękę konstruować wieloryby. Przez jakiś czas nie myśl o burakach, cegle i dywidendzie, ale raczej o tem, że masz obowiązek stworzyć żywy organizm, czujący i myślący organizm, z cegły, żelaza, buraków i ludzi!“ Bohaterzy łapią się, przynajmniej do jakiegoś czasu, na lep wróbelków; lecz filantropia, bądź dorywcza, w rodzaju kawałka chleba, rzuconego psu od niechcenia, bądź systematyczna, która karmi go z dnia na dzień — pod warunkiem, że będzie czuł swoją psią naturę, jakoś nie zadawalnia Wokulskich i Solskich. Mimo sofistyki Dębickich, w cukrowni widzą oni przedewszystkiem maszynę do wyciskania dywidendy z buraków. Nieświadomie, wbrew ulepionym doktrynom, widocznie wiedziony poczuciem artysty, Prus jakoś nie umie, acz sili się na to, znieść rozdźwięku pomiędzy dzielnym temperamentem a ideami natury wróbelkowatej. Pustka, która rozsiadła się w duszy jego bohaterów, nie pozwala się odpędzić: istnieje i głośno domaga się całopalenia. Szczęściem, istnieją na świecie spódniczki. Jakaś nimfa, niby gwiazda przewodnia, poczyna błyszczeć na widnokręgu próżni wewnętrznej, zdobycie zaś prawa do jej wdzięków staje się ogniskiem, skupiającem w sobie zadania życia bohaterów.

Ten rozdźwięk pomiędzy szerokim polotem metafizyków a dziobaniem wróbelkowatych celów u Wokulskich i Solskich, którzy są przecież odlani ze stokrotnie szlachetniejszego kruszcu, stanowi charakterystyczną cechę większych utworów Prusa. Podkreślamy tę okoliczność bynajmniej nie dlatego, abyśmy chcieli wznawiać przebrzmiały spór o kuzynku, roztrząsającym wartość idej, ale ponieważ ów rozdźwięk jest zasadniczym tonem w melodyi powieściowej naszego publicysty. Może on nie umie znaleźć szerszego celu dla swoich bohaterów, może inne warunki złożyły się na to. Nie będziemy rozbierali tej kwestyi i przejdziemy do postaci niewieścich, do różnego znaku emancypantek.

Zaprawdę, Prus czuje niechęć ku ideom, które ochrzcił nazwą wielkich w jednym ze swoich harców publicystycznych. Bo spójrzmy na orszak bohaterek najnowszej jego powieści. Dwa zastępy przesuwają się przed nami, potępieńców z jednej strony, a dzielnych, jeżeli nie zacnych białogłów z drugiej. Jak energiczną, wytrwałą osóbką jest pani Latter! Istotny mąż stanu w spódnicy... Pośliznguje się jej noga, lecz któż jest bez „ale“? Wszelako nadaremnie poszukiwalibyśmy tam czegoś więcej nad instynkty kwoki, której pisklęta okazały się niewdzięcznemi kaczętami i pobiegły na wodę, a ona, nieboraczka, straciła głowę i gdacze żałośliwie nad strugą. Albo Madzia, którą Prus wyrzeźbił swojem piórem z miłością kochanka. Zaiste dziecko to, geniusz uczucia — jak ktoś powiada, jest nader sympatyczne; życzylibyśmy, aby podobne złote serduszka, wrażliwe na każdy ból i biedę, powtarzały się w tysiącznych kopiach. Ależ bądźmy odważni i mimo całej sympatyi dla tej uroczej postaci, powiedzmy prawdę! Otóż ta miła bohaterka

posiada mózg dziwnie nierozgarnięty, umysł jej trwoży się, jak najbojaźliwsza ptaszyna, kiedy Norski odkrył przed nią krainę zwątpień, przez której gąszcze przedziera się przecież każdy inteligentny mężczyzna. Wszelkie ziarno, które nie pochodzi z drobnych kwiatków swojskiej łąki, nie zejdzie w jej duszy. Staroczesna zasada: „nie susz mózgu, lecz pytaj się serca“ — została wcieloną w Madzi. Nie mogłem oprzeć się pokusie, ażeby nie sięgnąć w dalszą przyszłość Madzi, kiedy otoczona zostanie szczebiotem dziatwy. Miewa ona co lat dwa maluchną Madzię lub drobniuchnego Stefka. U nóg jej będzie spoczywał piesek, który równie często będzie się przyczyniał do pomnażania żywych stworzeń na globie ziemskim; znajdzie też przytułek para kanarków, spełniająca przykazanie: mnóżcie się! Wszystko to będzie oddychało miłością nawzajem ku sobie, jako też ku różnym ofiarom losu. Madzia będzie królowała wśród tego gwaru, jej tkliwe serduszko odezwie się na każdą niedolę. Pośpieszy zatem do stróżki obłożnie chorej, przytuli uwiedzioną dziewczynę, założy ochronkę dla ubogiej dziatwy. Nie urągajmy tej sielance! Jak Henryk IV mawiał, że byłby wtedy najszczęśliwszy, gdyby każdy z jego poddanych jadł kurę na obiad, podobnie życzylibyśmy, ażeby każde zdrowe a dojrzałe dziewczę, które więdnie dzisiaj w panieństwie, rodziło chociażby co drugi rok i sławiło prawa przyrody, współczuło wszystkim nieszczęśliwym, wszelkiej niedoli...

Zatrzymajmy się nad zastępem potępionych, a zacznijmy od czupiradła — Howardówny. Ma na języku niezrozumiałą frazeologię praw kobiety, wygłasza najniefortunniej hasła o wychowywaniu dzieci przez społeczeństwa, w gruncie zaś serca jest samiczką, wzdychającą do tego, ażeby ją zapłodniono. Kiedy więc zdobyła męża, jednego z owych maluczkich duchem, lecz silnych ciałem, zdejmuje mu buty z nóg. A owa narwana panna Howard jest właśnie najgłówniejszym w powieści przybytkiem idej szerszych, to znaczy słyszała, że gdzieś za górami, za rzekami istnieje kwestya kobieca, białogłowy organizują się, wymagają uwzględnienia swoich interesów przez kodeks. O, Prus umie mścić się na ideach! Albo udajmy się na zebranie kobiet — nader udatną, ale w każdym razie karykaturę. Jakże plugawym robakiem jest każda z obecnych, która posiada jakąś idej w mózgu lub daje inicyatywę, a jak sympatycznie wyglądają ubożuchne duchem! Bo Prus lubi małe idee: ukochał on serce u kobiety, lecz nie znosi, ażeby myśl jakaś usłała sobie gniazdko pod jej niskiem czołem. Nie wątpimy, że w swoich utworach zdoła on powołać do życia mnóstwo sympatycznych i wspaniałych postaci, ale nie wahamy się twierdzić, że są typy, zgoła dla niego niemożliwe. W jednej ze świeżych powieści Orzeszkowej mamy uroczą postać panny Zdrojowskiej. Gdyby Prusowi zachciało się dać nam taką kobietę, z pewnością wyszłaby z pod jego pióra jakaś istota nienaturalna, gdyby napełnił ją ideami; natomiast kiedy zaspokoiłaby nasze artystyczne wymagania, byłaby czemś *à la* Howardówna.

A zatem ruch emancypacyjny został potępiony. Niewiasty, o ile ze spódnicy swojej czynią sztandar, są postaciami na wskroś śmiesznemi, niby małpa, przedrzeźniająca człowieka — mężczyznę. Bynajmniej, nie chcemy zaprzeczać, ażeby podobne dziwolągi nie istniały. Któż na naszem śmietnisku warszawskiem, wśród powodzi flirtu i blagi, nie spotykał Howardówien i Papuzińskich? Ba, z papug i papużek, które wykrztuszają czcze hasła emancypacyjne, możnaby ułożyć całą menażeryę. Jaką nieprzebraną moc zdołalibyśmy wskazać białogłów „emancypowanych,“ o wyzudanym języku, nie obawiającym się najbardziej krańcowych idej względem mężczyzny, a jednocześnie gołębio oględnych. Co więcej, gdyby nawet feministki globu ziemskiego zechciały mnie za to rozszarpać, jak daleko ponętniejsze ich siostry uczyniły ongi z Orfeuszem, muszę oświadczyć, że w całym ruchu emancypacyjnym, a zatem zarówno w Paryżu jak w Kiernozi, w Bostonie, jak w Koźlej Wólce, na czele ich idą osóbki aż nazbyt papuzich skłonności. Inaczej być nie może! Wszak sztandar emancypacyi spoczywa w ręku flirtującej damy i żąda wolności dla damy — od obowiązków! Wychowana w atmosferze świergotu, przyzwyczajona od dzieciństwa do pozowania na fotografii i w życiu, obracająca się w świecie kłamanej wielkości i nadętej nicości, przyuczona do swawoli języka i zarazem oględności, wielkie zagadnienia chwili mierząca łokciem blagi, wszystkie te nastroje wnosi do bronionej kwestyi i czyni z niej zabawkę dla swojej zdemoralizowanej jaźni. Zdrojowska, przybywszy z wiejskiej pustelni do miasta, ze zdziwieniem widzi, jak najwznioślejsze myśli, najszczersze uczucia stają się w salonie tandetą na równi z ploteczką. A, niestety, „emancypacya“ damy obraca się w takim światku i rozumie się wydaje stosowny owoc — orzech pozłacany, lecz wewnątrz pusty, jaki zawieszamy na choinkach. Typy zatem Prusa są może aż nazbyt prawdziwe. Ale czyż, po za narwanemi Howardównami i paplającemi Papuzińskiemi, wśród kobiet nie znajdzie się dzielnych głów i dzielnych serc? Nie wątpimy o tem, ponieważ znamy takie osoby. Nie popisują się one wyuzdaniem języka, nie marzą o wysłaniu swoich fotografij lub dyplomów na wystawę zamorską, ale mimo to posiadają główkę nie od parady i dużo uczucia w sercu. Dlaczego Prus w swojej galeryj typów niewieścich zna albo Madzie albo Howardówny? Dla prostej przyczyny: transcedentalizmy toleruje on tylko w filozofii kosmicznej.

K. R. Żywicki.

MALARSTWO.

„Legenda o Matce boskiej“ P. Stachiewicza.

Malarz, któryby pod obrazem swoim nie położył żadnego podpisu, a tem mniej objaśnienia, uczyniłby najroztropniej. To bowiem w znacznym stopniu zmniejsza mądrość i kaprysy krytyki. Jeżeli wymaluje na płótnie zająca w trawie i nie ochrzci go żadnym tytułem, każdy w nim znajdzie, czego pragnie. Jeden powie, że ów zając w dzień zakazu polowań upaja się nadzieją bezpiecznej swobody, drugi — że wabi samiczkę, trzeci — że dojrzał kapustę, czwarty — że skrył się przed lisem itd. Ze wszystkich trudności krytyki największą i najrzadziej pokonywaną jest trudność zejścia ze swego stanowiska i postawienia się na stanowisko artysty. Zdawałoby się, że to tak proste i łatwe, a jednak zaledwie najznakomitsi badacze sztuki i literatury umieją się na to zdobyć. Zwykły sędzia wydaje wyrok tylko o stosunku oglądanego dzieła do swego gustu lub pojmowania rzeczy, opowiada, co on by zrobił na miejscu twórcy z jego tematem, co wcale jeszcze nie znaczy, że zrobiłby lepiej. Widzi nos zadarty, on namalowałby spuszczony, widzi poranek, on namalowałby wieczór, widzi samobójcę przykładającego sobie rewolwer do czoła, on dałby mu truciznę itd.

Wymowny dowód takiego wnoszenia swoich upodobań i poglądów do cudzego umysłu przedstawiła nam recenzya jednego z malarzów cyklu obrazów Stachewicza p. t. „Legenda o Matce boskiej,“ nieudolne a pretensyonalne wypracowanie, które powinno być pomieszczone w „Wypisach krytycznych“ dla okazania, jak pisać nie należy. Stachiewicz wybrał z podania pewne momenty, krytyk wybrałby inne, pierwszy upostaciował je w pewien sposób, drugi — wolałby je upostaciować inaczej, słowem, zamiast estetycznego sądu — zachwalanie własnego ogonka. Ale przejdźmy do rzeczy.

Artysta krakowski wziął z legendy dziesięć chwil życia Matki boskiej — Dziewica z kwiatów, W stajence, Ucieczka do Egiptu, Sobotni promyk, Siewna, Gromniczna, Po gwiaździstej drodze, Po ciernistej drodze, Śpiewak Matki boskiej i Wniebowzięcie. Nie wszystkie te obrazki są równej wartości, ale razem składają cykl tak prześliczny, że gdy wreszcie oczy zdołają się od nich oderwać, pamięć nigdy ich nie zapomni. Najpiękniejsze są dwa ostatnie, oraz Siewna, Gromniczna i Promyk sobotni. Stachiewicz jest nietylko artystą wielce utalentowanym, ale bardzo pomysłowym i nadzwyczajnie wytwornym. Wyznajemy, że nawet z pod pędzla znakomitych malarzy wychodzące nieśmiertelne konie i konie, proste sukmany chłopów i zabłocone chałaty żydów mogły już wyczerpać najgłębsze zamiłowanie do końskiego rodu i jaskrawej powszedniości. Jeszcze raz konie, chude i tłuste, jeszcze raz chłopi, trzeźwi i pijani, jeszcze raz żydzi, brudni i umyci — oto co naprzód spotykamy, wszedłszy na którąkolwiek z naszych wystaw. Stachiewicz unika krzykliwej rzeczywistości i stale zwraca się do tematów, na których nędza życia nie osiada grubą warstwą. Najnowszy jego cykl jest w połowie sielanką a w połowie dramatem. Pierwsza jest bardziej konwencyonalną — tak np. w obrazku „Po gwiaździstej drodze“ Matka boska ma wyraz damy, wychodzącej z balu — za to momenty cierpień są przedstawione cudownie. Zwłaszcza „Wniebowzięcie“ może rościć pretensyę do arcydzieła. Nie pojmujemy, dlaczego artysta, wyobrażając tę samą postać w rozmaitych chwilach, użył dwu całkiem odmiennych typów, z których jeden — młodziutkie dziewczę, które nawet idąc „po ciernistej drodze“ nie objawia żadnej boleści — nie odpowiada swej roli. Zdaje nam się, że tenże sam typ kobiety powinien być zachowany we wszystkich obrazach i nie zmieniać się z drugim w ten sposób, że kilkunastoletnia panienka znajduje się w położeniu dojrzałej kobiety.

Czy Stachiewicz zużytkował materyał legendy, czy dał nam własne pomysły, czy jego utwory odzwierciadlają fantazyę ludu, czy też nie, czy one stanowią dokładny cykl, czy też luźne sceny — wszystko są to kwestye tak małej wagi, jak np. ten, u kogo Grottgier kupował ołówki. Głównie chodzi o to, czy dał nam obrazy piękne i oryginalne. Otóż niewątpliwie dał i tak piękne, że ich wystawa należy do prawdziwych uczt artystycznych. Zamiast popisywać się szkolarską krytyką i kręcić nosem, lepiej przyznajmy szczerze, że naszej sztuce przybyła w utworach Stachiewicza istotna chluba.

H. D.

ZE SCENY I Z ESTRADY.

Przywykliśmy tak dalece do uwielbiania jedynie talentów, opatrzonych etykietą sławy zagranicznej, że artyzm, który wyrósł wśród nas nagle w możliwie skończonej formie, wprawia nas w podziw niemały.

Pani Konarska nie rozwijała się przed wzrokiem naszym stopniowo, jak większość artystek, wyhodowanych na swojskim gruncie; jej debiut był doraźnym tryumfem wytrawnej śpiewaczki nad publicznością i prasą, w którą trady-

cya tysiąca niefortunnych prób młodzieńczego niewyrobienia wpoiła pewne uprzedzenie względem początkujących.

W trzecim i czwartym swym występie, jako Halka, p. K. zwyciężyła do reszty. Głos jej niewielki, o silnem metalicznem brzmieniu tonów średnich i piersiowych, mezzo-sopran, umiejętnie doprowadzony do skali sopranu, nie wytrzymałby karkołomnej, niezmiernie wysokiej partycyi, gdyby nie świetna szkoła, która chroni p. K. od wszelkich nadużyć, pozwalając jej spokojnie i bez wysiłku, a nadewszystko bez sztucznych efektów władać materyałem swoim.

„Od czasu Rivoli nie słyszałem podobnej Halki.“ — Zdanie to, wypowiedziane przez jednego z wytrawnych znawców muzycznych, utorowało p. Kon. drogę pewnego powodzenia w tej roli.

Kto nie podziwiał świetnej Rivoli, ten, nie porównywając musi złożyć hołd uznania współczesnej jej rywalce za śpiew szlachetny i grę skończoną. Talent to subtelny, który tłumom nie zaimponuje prawdopodobnie nigdy. Dziś już odzywają się głosy przeciwko przecenieniu p. K.

Tow. Muzyczne mądrze postępuje, urozmaicając wielce obecne koncerty swoje. Liczba członków jego wzrasta, a taki objaw świadczy korzystnie o działalności instytucyi. Ostatniemi czasy słuchacze mieli sposobność podziwiania cudu, jakiego dokonał p. Münchheimer z orkiestrą amatorską. Wiedząc, jak trudno gromadzić stale i przyprowadzać do porządku niesforne żywioły dyletanckie, należy złożyć p. M. wyrazy uznania za duże i szybkie postępy zebranej pod batutą jego gromadki.

Z zagranicznymi gośćmi nie zawsze dobrze wiedzie się Towarzystwu, albo bowiem nie odpowiadają zadaniu, jak fortepianista Schirman, wywołujący wprost komiczne wrażenie grą swoją, albo też przyjeżdżają z katarami i chrypką, jak p. Sanderson, znakomitość europejska, która z powodu choroby zadeklamowała raczej, aniżeli odśpiewała kilka piosenek, wykazując świetną dykcyę, frazowanie, barwność, finezyę, uczucie itd. w utworach Schumana, Czajkowskiego, d'Alberta, zmieniając jednak rytm kompozycyi Chopina tak, iż trudno je było poznać w jej wykonaniu.

Słuszne najzupełniej uznanie słuchaczów oraz sprawozdawców zdobyła sobie p. Hochedlinger, fortepianistka, często dająca się słyszeć na estradzie sal redutowych. Sumienna, poważna, wielką techniką obdarzona artystka powinna unikać dwu tylko rzeczy, mianowicie: niepotrzebnego głaskania klawiszy oraz obrotów całej ręki aż po łokieć dokoła palców, przytrzymujących tony melodyi. Metoda to wielce niebezpieczna, przy częstszem bowiem stosowaniu, zdaniem mistrza pedagogów fortepianowych, Leszetyckiego, zatraca siłę uderzenia, polegającą na najzupełniejszem wyodrębnieniu pracy mięśni i ścięgien palcowych od mięśni i ścięgien łokcia oraz przedramienia.

Selika.

WŁADYSŁAW OLENDZKI.

(Wspomnienie pozgonne).

Istotnych i utalentowanych publicystów mamy bardzo niewielu i daleko mniej, niż wykazuje nazwisk lista dziennikarska. Jednym z owych niewielu był zmarły przed paru dniami W. Olendzki, redaktor *Kuryera codziennego*. Był to rzeczywiście człowiek, który poszedł w kierunku swej największej zdolności i wybierając zawód publicystyczny, mógł być pewnym, że nie popełnił omyłki. Po skończeniu studyów uniwersyteckich w Heidelbergu, spróbował sił swoich w dziedzinie naukowej i opracował część dzieła p. t. „Teorye polityczne XVI w.“ Na tej jednej części poprzestał, gdyż przekonał się, że ścisłe badania naukowe nie są właściwem dla niego polem. Zanadto wiele posiadał w swym umyśle ognia, namiętności, gwałtownych porywów i stronniczych usposobień. On był stworzony na szermierza partyi, na zapaśnika dziennikarskiego, który ukochawszy pewien sztandar, chętnie i walecznie potyka się w jego obronie. Ta natura talentu Olendzkiego ujawniła się całkowicie, gdy po przybyciu do Warszawy jako fejletonista *Niwy* (Jacek Soplica), jako redaktor *Słowa* lub współpracownik innych pism, występował do walki w obronie zasad i ideałów zachowawczo-szlacheckich. Zwłaszcza w pierwszej z tych ról był on bojownikiem niezmordowanym i śmiałym. Nie dał się przez lat kilka spędzić z placu najostrzejszymi strzałami t. zw. „młodej prasy,“ której ataki odpierał z wielką odwagą i cietością. Z wiekiem ta energia, junactwo i zaczepność osłabły. A jakkolwiek na stanowisku redaktora *Kuryera codziennego* ograniczył się wyłącznie do ciskania grotów w sferze polityki zagranicznej, do końca zachował wprawę, umiejętność i zwyczaje rębacza.

Olendzki, dopóki zabierał głos w sprawach społeczno-umysłowych, był zawsze przeciwnikiem kierunku, w którym się porusza pismo nasze. A jakkolwiek niejednokrotnie musieliśmy ścierać się z nim ostro, stajemy nad jego grobem bez pretensyi, bez urazy, bez niechętnych wspomnień, owszem, z prawdziwym szacunkiem dla jego pracy i ze szczerym żalem jego przedwczesnej śmierci. Zgasł mocny talent publicystyczny, przestało bić serce gorących i czystych uczuć pełne, ubył dziennikarstwu pracownik wybitny. Czy to jest objawem rzadkiej siły umysłowej i umiłowania zawodu, czy też dowodem strasznego musu pracy, który na chwilę przed zgonem biednemu niewolnikowi życia nie pozwala odpocząć, w każdym razie zaznaczyć należy, że ostatni artykuł Olendzkiego zaledwie o dwa dni poprzedził jego śmierć. Zatem nieboszczyk pisał konając. Wolimy przypuścić, że czynił to z chęci, niż z potrzeby. Wypalił się prędko, bo liczył tylko lat 54. Jedno ostrze nożyc, któremi Parka przecięła nić jego żywota, zrobiła może choroba, ale drugie — niewątpliwie wyczerpująca praca. Publicystyka nie stanowi spójnego łożyska, po którem by strumień ludzkiego istnienia płynął całkowicie aż do dalekiego końca, lecz jest to piaszczyste łożysko, które pochłania jego krople i w którem najobfitszy potok szybko niknie.

NOWE KSIĄŻKI.

Władysław Umiński. *Żegluga powietrzna* (z 36 ilustracyami), Warszawa, 1894.

Książka ta obejmuje całą historyę usiłowań ludzkich około zapanowania nad przestworami powietrza. Autor rozpoczyna opowiadanie od pierwszych prób przed wynalazkiem balonów, następnie rozwija teoryę balonów i aerostatów. Wynalezienie pierwszych rozdzieliło zwolenników żeglugi powietrznej na dwa obozy. Do jednego należą stronnicy przyrządów cięższych od powietrza, do drugiego wszyscy, którzy są za balonami i aerostatami. P. U. osobny rozdział poświęca opisowi pierwszych prób kierowania statkami powietrznymi, w dalszym zaś ciągu charakteryzuje aeronautykę współczesną. Część druga zawiera opis maszyn latających, które poprzedza wykład o locie ptaków, dalej helikoptery i spadochrony, latawce i aeroplany, ptaki sztuczne czyli orthoptery, wreszcie rzecz o nowej gazowej bateryi elektrycznej do celów żeglugi powietrznej, kończy dziełko wielce urozmaicone, ciekawe i wyłożone w sposób przystępny. Od aeroplanu, jak na dziś, autor najwięcej każe się spodziewać. „Przyrząd ten przy obecnym stanie techniki najprędzej może nas zaprowadzić do rozwiązania kwestyi żeglugi powietrznej. Praca nad maszynami latającemi wre gorączkowo we wszystkich zakątkach świata ucywilizowanego; oddają się jej ludzie nauki, wsparci potężnymi środkami materyalnymi, dostarczanymi przez specyalne syndykaty kapitalistów. Balony, jako posiadające wiele wad, nie dadzą pożądanych rezultatów; natomiast, zdaniem p. Umińskiego, ludzie podbiją atmosferę daleko łatwiej za pomocą innych maszyn, tj. aeroplanów, cięższych od powietrza. Wogóle maszyny latające, podług autora, doprowadzą wkrótce do rozwiązania kwestyi żeglugi powietrznej.

Elizeusz Reclus, *Zjawiska ziemskie*. Lądy stałe. Z upoważnienia autora przełożyła i uzupełniła dr. M. Stefanowska. Warszawa, 1894.

Część pierwsza, p. t. „Lądy stałe,“ zawiera przystępny opis najważniejszych i najciekawszych zjawisk lądowych kuli ziemskiej. (Kształt planety, równiny, płaskowzgórza, góry, krążenie wody, ruchy ziemi). Rzecz zakończona teoryą Darwina co do podnoszenia się i zapadania gruntu. Drugi tom *Zjawisk ziemskich* obejmie morza i meteory z dokładnym opisem zjawisk oceanicznych i napowietrznych.

Dr. Sewer. Sterling, *Chemiczne badanie wody*. Rzecz opracowana przez redakcyę czasopisma *Zeitschrift für Nahrungsmittel-Untersuchung u. Hygiene*. Warszawa, 1894.

Ugrupowanie wykładu jest następujące: Czerpanie prób, konstatowanie niektórych ważnych własności fizycznych, badanie chemiczne, poszukiwanie amoniaku, kwas azotowy, kwas saletrzany (azotny), wykrycie jakościowe; badanie ilościowe, chlor, poszukiwanie ilościowe, określenie ciał stałych; materye organiczne, zdolność utleniania. a) Próba wstępna, b) postępowanie przy badaniu prób wody zanieczyszczonej; wapień i magnez; twardość, próba wody badanej, kwas siarczany, poszukiwanie metali ciężkich.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Członkowie Towarzystwa „języka międzynarodowego „Esperanto“ opracowali projekt utworzenia spółki dla wydawania centralnego organu peryodycznego (miesięcznika) tudzież książek w tym języku. Uczestnicy opłacać mają za akcyę nie jednorazowo, lecz przez cały czas trwania spółki po 10 rs. rocznie. Na początek wypuszczonych będzie tysiąc akcyi z przywilejem dla nabywców, którzy opłacać będą zamiast 10 tylko 5 rubli. (*Peterb. wied.*).

— Na wystawę stałą salonu artystycznego na Nowym Świecie przybyło osiem oryginalnych rysunków Matejki, podług których wykonane były malowidła freskowe w gmachu politechniki we Lwowie. Prócz tego, przybyło jedno z ostatnich płócien nieboszczyka, „Portret damy.“

— Muzeum brytyjskie w Londynie nabyło bardzo rzadki dokument, własnoręczny list Shakespeare'a, pisany r. 1609 do lorda majora Londynu. Jest to w formie wierszowanej pozdrowienie, z powodu otrzymania wysokiej godności. Przez 25 lat list był w posiadaniu handlarza obrazów, Neate'go, który znalazł go w starem pudełku, niegdyś należącem do rodziny Schakespeare'a.

— W Paryżu zaczął wychodzić nowy miesięcznik *Revue de Paris*. Zeszyt pierwszy obejmuje prace Balsac'a Lotego, Renana, Gypa, Magnarda, Fagueta Annuzia, Jusseranda i Séailles'a.

— Ukazało się w Paryżu nowe pismo p. t. *Revue mutualiste* pod redakcyą F. Lefévra. Celem jego jest wytworzenie związku pomiędzy wszystkiemi stowarzyszeniami współdzielczemi tudzież wzajemnej pomocy, zaznajomienie ogółu francuskiego z działalnością i organizacyą takich stowarzyszeń za granicą, zawiadamianie o nowych rozporządzeniach w tym zakresie itd.

— W bibliotece watykańskiej odkryto księgę z r. 1480, zawierającą całkowitą „Boską komedyę“ Dantego.

— R. 1893 wydano we Francyi 14,500 prac różnego rodzaju.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

REFORMA PRAWA
O POSZUKIWANIU OJCOWSTWA.

Żałować należy, że nie możemy się nadal posługiwać tylko naturą jako przewodnikiem, aby ustanowić zasady co do sposobów udowodnienia ojcowstwa.“

Tak przemawiał — prawie stulecie temu — znakomity prawnik Bigot-Préameneu[1]), popierając przed radą państwa część kodeksu cywilnego, zawierającą podobno prawa dzieci naturalnych. Zdawałoby się, że skoro przyroda nie może być wyłącznym przewodnikiem w ustanowieniu ojcowstwa, należy jej przyjść z pomocą; że skoro owe dzieci, które „nie mają ojca,“ nie mogą znaleźć w naturze sprzymierzeńca, godzi się dać im schronienie w prawie. Na taki wniosek odpowiedziało ono wzbronieniem poszukiwania ojcowstwa, mówca zaś zapewniał w dalszym ciągu słuchaczów, że „w nowym kodeksie usiłowano zakreślić granice, w których ani prawa natury, ani prawa społeczeństwa nie doznawałyby gwałtu“ [2]). W trybunacie Lahary powtórzył, acz nie w tak wykwintnej formie, dytyramby na cześć nowonarodzonego prawa, kończąc swą długą przemowę okrzykami: „honneur et gloire!“ Zachwyty te są nader zrozumiałe — wszak po dzień dzisiejszy panuje we Francyi powszechny kult nieomylności kodeksu cywilnego, wszak — mimo niejednokrotne wnioski ustawodawcze — prawo dawne pozostało w pełnej mocy.

Czyż tak potężne są jego podstawy społeczne, czy — mówiąc językiem Jheringa — posiada ono obok miecza wagę dostateczną? Zwróćmy się ponownie do motywów prawa: powinny one rozwiać mgłę naszych wątpliwości.

Ogólną zasadą, jaką tu napotykamy, jest dążność do zapewnienia jednostce spokoju, do uniknięcia rozgłosu, skandalu, albowiem — jak to udatnie streścił Wołowski — „dowody wszelkie na czyn ojcowstwa tylko zgorszenie i schlebianie nieprawym chciwych niewiast roszczeniom sprowadzają“ [3]). Krytykując prawo z czasów rewolucyi, które pod wielu względami zrównało dzieci naturalne z prawemi, Bigot-Préameneu powiada: „Człowiek najczystszej konduity, który osiwiał w praktykowaniu wszelkich cnót, nie był zabezpieczony od napaści kobiet bezwstydnych lub dzieci mu obcych“ [4]).

Czyż trzeba być prawnikiem, aby wykazać całą nielogiczność takiego argumentu? Przed kilku laty do mieszkania jednego z moich kolegów wpadł jakiś zaperzony żydek, przybyły z prowincyi, oskarżając go o zabranie mu 50 rubli: pozywał go potem do sądu, który naturalnie wyjaśnił całą niedorzeczność owego zarzutu. A więc poszukiwanie skradzionej rzeczy ma być wzbronione?

„Uznanie dzieci cudzołożnych lub kazirodczych przez ojca i matkę byłoby przyznaniem się do przestępstwa“ [5]). Dobrze! Prawo nie zabrania przyznawać się do winy, jak gdyby to mogło uratować dziecko, nieodpowiadające, w prawnem tego słowa znaczeniu, za winy rodziców. Podobnie mówi Wołowski: „Prawo, powodowane wysokimi widokami moralności ogólnej, chce, żeby stosunki takie zapomnieniem, wzgardą ogólną były pokryte, żeby dzieci, skutkiem przestępstwa spłodzone, nigdy w obliczu prawa nie mogły być uznane przez ojca lub matkę, nigdy nie mogły dowodzić pochodzenia od jednego z nich“ [1]). Kowal zawinił... W takim też kierunku podąża argumentacya Lahory'ego. Co się stanie z nieprawemi dziećmi, gdy pójdą one w świat bez ojca, a częstokroć bez matki — czy zginie połowa ich w domu podrzutków, czy wreszcie, pozbawiając ich opieki prawnej, prawo cywilne nie przerzuca ich na ławę oskarżonych lub na łoże rozpusty — o tem nie masz w motywach wzmianki. Wstyd ojca, wstyd matki — zgorszenie — oto jedyne, na co się wysilić mogły tak wybitne przecież umysły ówczesnej Francyi!..

Nie wywodząc więcej żalów, a odsyłając czytelników do współczesnej beletrystyki, która tak często zabierała głos w obronie dzieci naturalnych, przechodzimy obecnie do nowego belgijskiego projektu prawa, dotyczącego poszukiwania ojcowstwa. Rząd, uznając naglącą konieczność reformy w tej mierze, odstąpił od zamierzonego projektu ogólnej rewizyi kodeksu cywilnego i przedstawił Izbom w formie prawa specyalnego projekt, wypracowany przez komisyę w sprawie poszukiwania ojcowstwa [2]).

Gdy kodeks Napoleona dopuszczał sądowego poszukiwania ojca tylko w przypadku porwania, punkt 2 art. 1 projektu znacznie rozszerza ten warunek, utożsamiając porwanie z samowolnem uwięzieniem, gwałtem lub tylko zamachem, niepołączonym z gwałtem — gdy czas spełnienia tych przestępstw odpowiada czasowi poczęcia i gdy są one dokonane na osobie dziewczyny, liczącej przynajmniej czternaście lat wieku. Następny punkt art. 1 dozwala powództwo, gdy nastąpiło uwiedzenie przez obietnicę małżeństwa, przez nadużycie władzy lub środków podstępnych — byleby tylko istniały na piśmie początki dowodu na korzyść tych okoliczności i byle domniemania lub wskazówki wypływające z faktów niewątpliwych nakazać mogły dowody ze świadków. Warunki niezbędne dla poszukiwania stanu przez dzieci prawe wystarczają, według projektu, dla dochodzenia ojcowstwa, a więc: uznanie wypływające z aktów lub innego pisma, pochodzącego od domniemanego ojca, lub z okoliczności, których całokształt wykazuje posiadanie stanu. Zgodnie z taką analogią, spór w przedmiocie poszukiwania ojcowstwa może być wszczęty przez wszystkie osoby interesowane (art. 4), lecz — jak to prawo cywilne przepisuje co do dochodzenia macierzyństwa — ojcowstwo nie może być poszukiwane przeciwko dziecku nieprawemu (art. 5). Oto są wszystkie przywileje, nadane przez projekt noweli dzieciom naturalnym. W pozostałych artykułach powtarza on odnośne przepisy Kodeksu cywilnego: co do praw spadkowych dzieci naturalnych, co do obowiązków alimentarnych rodziców i wzajemności tych obowiązków, prawa dochodzenia stanu przez sukcesorów dziecka itp. Wreszcie niedopuszczalnem jest poszukiwanie ojcowstwa przez dzieci cudzołożne i kazirodcze. „Plama ich urodzenia jest niezmazaną. Prawodawca, piętnując nią dziecko, ma na celu odwrócenie od występku kobiety, która, będąc pewną, że owoc występku nigdy ani uprawnionym, ani uznanym być nie może, silniejszą będzie przeciwko uwiedzeniu mężczyzny, a ten wstrzyma się na brzegu przepaści na myśl o okropnych następstwach dla dziecka, z jego przestępstwa zrodzić się mającego“ [1]). Bez komentarzy.

W każdym wszakże razie przyznać należy, że nowy belgijski projekt prawa znacznie posunął naprzód zagadnienie, domagające się rychłego a zasadniczego rozstrzygnięcia. I tem właśnie, a nie czem innem wstrzyma on „na brzegu przepaści“ tych, którzy cały ciężar obowiązków zrzucają na słabe barki uwiedzionej kobiety... Wtedy ci ludzie nie będą powtarzać za Napoleonem, na którego żądanie podobno zredagowano art. 340 kodeksu cywilnego, że „społeczeństwu nie zależy na przyznaniu synowstwa bękartów,“ że „cudzołóztwo, które w kodeksie cywilnym jest czynem ogromnej doniosłości — jest właściwie niczem innem, jak pewną galanteryą lub zdarzeniem z balu maskowego“ (Zagorowskij).

Grzegorz Glass.

[1]) *Code civil des Francais*, suivi de l'exposé de motivs, tom III, str. 1.

[2]) Tamże, str. 21.

[3]) J. K. Wołowski, *Kurs kodeksu cywilnego*, str. 190, § 341. Warszawa, 1868.

[4]) Tamże, 22.

[5]) Bigot-Préameneu, 24.

[1]) *Wykł. pr. cyw.* 193 § 345.

[2]) Por. wzmiankę Cazajeux w styczniowym zeszycie czasopisma *La reforme sociale*, gdzie tekst tego projektu zamieszczony jest in extenso.

[1]) *W. pr. cyw.*, str. 183, § 328.

HYGIENA W LITERATURZE I ŻYCIU.

I.

Early to bed and early rise makes man healthy wealthy and wise. (Zawczasu iść spać, wczas do roboty wstać — daje zdrowie, pomyślność i mądrość). Taką maksymę angielską hygieniści każą zawsze mieć w pamięci, szczególnie ludziom pracującym umysłowo. Pomimo atoli, że niema jednego głosu, któryby nie podzielił słuszności tej przestrogi, tak się rozrosły powszechnie grzechy przeciwko hygienie, iż jej szerzyciele na wszystkich krańcach świata cywilizowanego uderzyli w dzwon alarmowy i stworzyli osobną literaturę w tym zakresie. Jednocześnie rozwinął się wielce ciekawy ruch moralno-społeczny w jednym głównie kierunku — skromności płciowej. „Czystość powinna jednakowo obowiązywać obie płcie.“ Hasło to wyszło z germańskiej północy i dziś liczy sporo przyjaciół.

Ale co począć z wielkim, trudnym do usunięcia fantem — nierządem, na który owi moraliści najpierw zwrócili uwagę? Nie będziemy tu wyliczać zasług pani Butler i jej następców, tudzież tych przeróżnych plastrów do przykrycia narośli chorobliwych, ażeby swą nagością nie raziły oka ludzkiego. To tylko zaznaczyć musimy, że owocem tego ruchu było zniesienie prawa, regulującego urzędownie prostytucyę oraz domy publiczne w Anglii i jej koloniach, w Indyach, Norwegii, w większych miastach Holandyi, we Włoszech, wielu kantonach Szwajcaryi itd. W Danii aż 150,000 mężczyzn i 120,000 kobiet podpisało odpowiednią petycyę do ministra sprawiedliwości. Rdzeniem tego ruchu jest związek „Angielsko-kontynentalny i ogólny,“ utworzony r. 1875. Na ostatniem walnem jego zebraniu w Sztokholmie (r. 1890) roztrząsano środki przeciwdziałania złemu, do których zaliczono: walkę o prawa własności kobiet zamężnych, o poprawę stosunków zarobkowych płci niewieściej, oświatę, wychowywanie dzieci nieślubnych tudzież przymuszanie mężczyzn do utrzymywania swych dzieci nieprawego łoża. W Amsterdamie, Arnheimie, Harlemie, Hadze i Utrechcie zawiązały się stowarzyszenia, odbywające codzień od 2-ej do 3-ej w nocy ront po mieście i starające się powstrzymać mężczyzn od odwiedzania domów publicznych. W Niemczech powstały liczne „stowarzyszenia chrześciańskie,“ połączone niedawno w ogólny „związek obyczajowy.“ Ideałem dążności solidarnej tych instytucyj powinno być: „bez różnicy stanu majątkowego, położenia towarzyskiego, płci i narodowości lub wyznania, dążyć do tego, aby obyczaj pu-

bliczny oczyszczać i uszlachetniać, zbliżać do siebie różne warstwy społeczne, przeciwdziałać wszelkiemu wyzyskowi lub poniżeniu godności człowieczej. Jest to przedewszystkiem *sprawa zdrowotna* i iście humanitarna, wyższa ponad wszelkie spory wyznaniowe lub plemienne i w niej *cała* ludność bez różnicy religii lub sekty, udział jednaki brać powinna." Mniej więcej taki program nakreśliło sobie stowarzyszenie berlińskie *Jugendschutz*, zawiązane r. 1889, które między innemi dąży do urządzenia t. zw. „Schronień dla robotnic" (*Arbeiterinen-Heime*) i w tem najrealniejsze są ślady tej działalności, gdyż dwa już takie schronienia otwarto w środku miasta.

Walka z rozpustą najsilniej się rozwinęła w Skandynawii, a na czele tego ruchu stanął Bjornstjerne-Björnson. Poeta, krytyk, dramatopisarz idee swoje jasno wypowiedział w sztuce p. t. „Rękawiczka," której myślą przewodnią jest rozwinięcie pytania: Czy słuszną jest podwójna miara, jaką w społeczeństwie mierzymy moralność nieżonatego mężczyzny i niezamężnej panny? Po wystawieniu tego utworu na berlińskiej „Wolnej scenie" (1889 r.), zawrzała namiętna utarczka przekonań na szpaltach pism, rozgorączkowały się umysły, a wśród wyznawców wstrzemięźliwości ogromne oburzenie wywołały następujące uwagi Pawła Lindaua: „Narzeczony ma być również czystym, jak oblubienica, czystym nawet w anatomicznem znaczeniu. Jest to tak przeciwne naturze, że nawet w języku niemieckim nie posiadamy na to właściwego wyrażenia. W naszej zdrowej mowie niema odpowiednika męzkiego dla wyrazu „dziewica" (*Jungfer*), a i francuzi, jeśli kiedykolwiek użyją wyrazu *puceau*, to chyba tylko w nieco żartobliwym stosują go tonie."

Bądź co bądź, idea, wygłoszona za pośrednictwem sceny, znalazła szeroki, chociaż różnorodny oddźwięk i wpłynęła na większą popularność autora. Niezmordowany i gorący szerzyciel zasad moralnych nie poprzestał na drodze literatury pięknej; przebiegł on Skandynawię od krańca do krańca i jednał sobie zwolenników za pomocą odczytów, których streszczeniem jest właściwie osobna praca, wydana u nas r. z. w przekładzie polskim p. t. „Jednożeństwo i wielożeństwo." Stara się on udowodnić i wdrożyć śród ogółu to twierdzenie, że wstrzemięźliwość płciowa bynajmniej nie osłabia natury człowieka i nie pociąga za sobą żadnych chorób, „jeżeli wogóle prowadzimy rozsądny i prawidłowy tryb życia." Blednica panieńska, na którą jeszcze niedawno widziano najlepsze lekarstwo w zamążpójściu, według badań Virchowa i innych, ma zupełnie odmienne przyczyny: chorują na nią zarówno ośmioletnie dziewczynki, jak i prostytutki. O mężczyznach mówiono, że wstrzemięźliwość sprowadza rozstrój psychiczny. „Ale oto nauka zaprowadziła osobną rubrykę statystyczną „obłąkań wskutek wstrzemięźliwości płciowej" i cóż się okazało? — rubryka ta zostaje prawie pusta." Norweski zaś wydział lekarski wygłosił: „Mniemanie, że życie moralne i wstrzemięźliwość płciowa sprowadzają niebezpieczeństwo dla zdrowia, uważamy, na podstawie naszego doświadczenia, za fałszywe. Nie znamy ani jednego przykładu słabości fizycznej albo rozstroju, których przyczyną byłaby czystość moralna w życiu."

Takimi dowodami Björnson walczy z rozpasaniem fizyologicznem; ale obok rosnących szeregów przyjaciół jego idei, są także wrogowie, przeciwnicy wszelkich więzów; przywódcami zaś tego obozu są przyrodnicy norwescy: Krogh, Garborg, Jaeger, wreszcie najskrajniejszy Strindberg. Należy oswobodzić małżeństwo, precz z jego więzami! Związki dusz i małżeństwa duchowe — to bezsens; główną rzeczą — utrzymać gatunek; najważniejszem jest dziecko." To są mniej więcej jego poglądy. W tem starciu dwóch grup przeciwników björnsonowcy nie tracą siły: ściągają do swych szeregów nie tylko mężczyzn, ale także liczne zastępy kobiet, które łączą się gromadnie z tą myślą, ażeby nie być już „mydłem" dla samca dwunożnego.

Björnson czuje atoli, że jego działalność nie jest pełną, jako niespecyalisty w dziedzinie fizyologii; narzeka więc, że lekarze nie są doradcami etycznymi. Ale oto i ta luka zaczyna powoli się zapełniać nowymi szeregowcami. Między innymi ukazał się dr. Kornig z osobną pracą p. t. „Hygiena skromności," w której, uzbrojony powagami naukowemi i masą faktów, występuje z namiętną walką przeciwko rozpuście. „Dziś chyba tylko dzięki przypadkowi szczęśliwemu czysta dziewica z najlepszych sfer towarzyskich nie bywa zatrutą jadem i nieszczęśliwą w małżeństwie."

Nie łudźmy się, że to zdanie, wypowiedziane przez autora niemieckiego, stosuje się tylko do społeczeństw zachodnich. Przyjrzyjmy się dobrze naszym pannom na wydaniu, świeżutkim, pełnym sił i zdrowia, a potem — śledźmy je uważnie, jako młode mężatki. Ogień energii szybko zagasa, twarz matowieje i więdnie, doktór i recepty są potrzebą codzienną. Smutna wymiana posagów! Panna wnosi wiano w gotówce, a wzamian bierze resztki sprawności fizycznej swego męża wraz z nabytkiem — chorobą chroniczną. Lekarz amerykański, dr. Nöggerath, który z wielką rzetelnością badał tę stronę rezultatu stadeł małżeńskich, utrzymuje, iż młode damy boją się po prostu wychodzić za mąż, gdyż wiedzą, że wszystkie ich towarzyszki i znajome wkrótce po zamążpójściu zachorowały i już nigdy do zdrowia nie powróciły. „Napady chorobowe — powiada ten badacz — raz poraz przychodzą w krótszych lub dłuższych odstępach czasu, a w przerwach trwają liczne cierpienia natury newralgicznej lub histerycznej. Schodzi dziesięć, dwadzieścia lat życia, w sposób tak okropny, że go najzłośliwszy wymysł gorzej wymyśleć nie zdołałby. A przy tem nawet w czasach fizycznego zdrowia, w czasach od cierpienia wolnych, dniem i nocą biedną kobietę trapi i przeraża ta myśl, że ani chwili pewną nie jest, czy ponowny napad wroga zdradzieckiego nie przyjdzie, który się zjawia w każdym klimacie, w każdej porze roku, na lądzie i morzu, od którego nie chroni ich ni strefa ziem, ni wiejskie ustronie, ni góry, ni lasy." Obraz wcale nie zachęcający ostrożnych kobiet do małżeństwa. Ponieważ uwagi Nöggeratha, oparte na licznych faktach, podzielają także inni specyaliści i ze swojej strony dołączają sumę spostrzeżeń, można więc przyjść do przekonania, że zamążpójście dla kobiet pod względem zdrowotnym jest krokiem tak ryzykownym, jak dla mężczyzn odwiedzenie lupanaru i jeżeli związki małżeńskie pomimo to tak łatwo się kojarzą, trzeba fakt ten przypisać nieznajomości istotnego stanu życia śród przeważnej liczby „kandydatek," dzięki „starannemu" wychowaniu, a z drugiej strony potrzebie zdobycia środków utrzymania. Małżeństwo, to przecież w dzisiejszym porządku rzeczy — fach, zabezpieczający istnienie materyalne, a to jest bodziec, wobec którego wszelkie największe niebezpieczeństwa schodzą do mało dostrzegalnego punktu. Niejedna uboga dziewczyna wychodzi za mąż w ostateczności. Mniej szczęśliwa wybiera inną ostateczność — kupczenie własnem ciałem w sposób nieozdobny. Obie pod brzemieniem konieczności materyalnych zapominają jednakowo o wszystkich smutnych następstwach i niebezpieczeństwach. Mogą sobie ręce podać, pocieszyć się tem, że dola kobiet „z towarzystwa" bywa ich losowi pokrewna...

Jakież środki zaradcze zalecają specyaliści — badacze życia społecznego? Liczne broszury i nawet książki o zakroju poważniejszym, które nam w tych czasach zdarzyło się czytać, radzą przeważnie — zupełną czystość w stanie kawalerskim aż do chwili ożenku. Na prawdę sposób skuteczny, a najżarliwszymi jego wyznawcami — dla innych (nie wiem, czy dla siebie) są pp. Kornig i S. Ribbing, profesor uniwersytetu w Lunda („Hygiena płci i jej moralne następstwa"): Szkoda tylko, że praca tych panów równa się usiłowaniom zmiany kierunku prądów w rzekach lub morzach i że nawet śród wielu kandydatek do kobierca ślubnego nie znajdą oni uznania. „Cnotliwy młodzieniec" w ich oczach nie jest ideałem doskonałości i źródłem sił świeżych, zdrowych, lecz „niedołęgą" budzącym nawet pewne wątpliwości" pod względem uzdolnień do stanu małżeńskiego. Przez kobietę, uznającą ten przywilej zwyczajowy i fizyologiczny swego „opiekuna," przemawia sarkazm bezwiedny.

Zenon Pietkiewicz.

LIBERUM VETO.

Sprawdzona przepowiednia obserwatoryum astronomicznego. — Wiosna, jako pora miłości. — Niebezpieczeństwo małżeństw w tej porze. — Znowu walące się domy. — Potrzeba zaostrzenia odpowiedzialności. — Cech kelnerów. — Wstąpienie kobiet do warsz. oddz. Tow. pop. rusk. przem. i handlu. — Halla pracująca dla mas. — Nowa stacya. — Wesołość w smutku i obawa w wesołości.

„Wiemy, że nic nie wiemy" — powtarzamy sobie z filozofem w chwilach poczucia niemocy wobec trudnych zagadek poznania, a jednakże z równą słusznością możemy sobie przyznać: wiemy, że coś wiemy. W zeszłym tygodniu obserwatoryum petersburskie rozesłało okólnik, zapowiadający, że na przestrzeni Królestwa Polskiego będą znaczne opady atmosferyczne i wiatry południowe. Jakkolwiek te zmiany powietrzne spotykają się z naszą zupełną bezsilnością, a z tych przepowiedni możemy wyciągać bardzo niewielkie korzyści praktyczne, kto jednak zaprzeczy, że w nich tkwi kawał dumy rozumu ludzkiego? Nawet meteorologia, ta dziedzina najuboższa w ścisłe prawa, pełna mgieł, których nie zdołały rozjaśnić promienie badań i domysłów, zaczyna wiązać pewne zjawiska w łańcuchy przyczynowości. Z pozoru to tak skromnie brzmi: tu lub tam spodziewane są znaczne opady i wiatry południowe — a przecież ile w tej wiadomostce tkwi daremnych mozołów, ciężkich prac i tryumfów ducha ludzkiego!

Zgodnie tedy z proroctwem obserwatoryum petersburskiego, pada śnieg, który topnieje w ciepłych powiewach wiosny. Wiosny? No, jeszcze ona żadnego ze swych gońców nie przysłała, ale już wymawiamy jej czarowne imię, które zawiera w sobie więcej miłości, niż jakikolwiek inny wyraz mowy ludzkiej. Zwyczaj, który może nie zrodził się ze świadomości, ale z dobrego instynktu, słusznie umieścił zapusty i porę zawierania małżeństw w środku zimy; gdyby je bowiem przeniósł na wiosnę, mniej byłoby starych kawalerów i panien, ale więcej nieszczęśliwych stadeł. Wtedy bowiem wszyscy mężczyźni podobają się wszystkim kobietom i nawzajem (statystyka nawet ma żywe dowody tej gorącej sympatyi). Jeżeli jakaś para ludzka uczuje ku sobie gwałtowny pociąg podczas mrozów i śniegów, to niewątpliwie wystarczy jej miłości na długo. Ale jeżeli serca bić zaczną ku sobie w kwietniu lub maju, mogą ostygnąć przed przylotem nowych bocianów. To też przypuszczam, że najtrwalsze i najszczęśliwsze są małżeństwa za-

dziergnięte (nie zawiązane) w zimie. Warto, ażeby jakiś socyolog sprawdził tę hypotezę na faktach i objaśnił nas, czy przed nadchodzącą wiosną jakieś obserwatoryum społeczne nie powinno rozsyłać corocznie okólników z przestrogą: ostrożnie, panowie i panie!

Tymczasem ostrożnie z wynajmowaniem mieszkań w nowych domach; coraz częściej bowiem one się walą. W ciągu roku zdarza się już trzeci tego rodzaju wypadek. Przyczyna zawsze taż sama: spekulant, zmówiwszy się z budowniczym i majstrem mularskim, lepi z lichej cegły i gruzu wysoki dom, który na szczęście rozpada się, zanim ludzie go wypełnili. Doprawdy, trudno nie być mściwym i nie powiedzieć: jeżeli szubienica ma być utrzymana, należy zakwalifikować do niej także tych winowajców. Rabuś, który idzie kraść, także nie ma chęci nikogo zabijać i czyni to tylko wtedy, gdy bez morderstwa nie zdobędzie łupu lub gdy musi pokonać opór. A jednakże posyłamy go do ciężkich robót! Spekulant, który buduje dom z lichej cegły lub gruzu, także nie chce zabijać jego mieszkańców, ale czyni to wtedy, gdy go rachuba zawiedzie. Kodeks przytem pociąga do odpowiedzialności tych, którzy bądź pośrednio pomagają do spełnienia występku, bądź nie zdradzają go. Budowniczy, majster mularski, a nawet zwyczajny robotnik, znający się na rzeczy — wszyscy oni w razie wykrycia fuszerki, grożącej niebezpieczeństwem, powinni być karani. Wówczas nie będziemy drżeli z obawy, że kamienica, koło której przechodzimy lub do której wprowadzamy się, za chwilę runie. Doprawdy, chyba mniej zgrzeszymy surowością, gdy kilku oszustów odpokutuje swą winę, niż gdy setki ludzi ginąć będą pod gruzami ich domów.

Wszelkie stowarzyszenia — z wyjątkiem naturalnie wznoszących niebezpieczne domy lub opróżniających ludzkie kieszenie— są zawsze bardzo pomyślnym objawem życia społecznego. Jakkolwiek organizacya cechów jest jedną z gorszych, uważamy za pożyteczną myśl utworzenia w Warszawie osobnego cechu kelnerów. Twórcy tego projektu uzasadniają go tem, że „chcieliby swój stan podźwignąć w opinii publicznej,“ zgarnąć z niego „szumowiny, które go hańbią,“ usunąć złodziejów, łobuzów i nicponiów. Ale jeżeli oni te tylko względy podnoszą (w *Gazecie polskiej*), to świadczy jedynie o ich wielkiej skromności i surowości dla... siebie. Mnie się zdaje, że w zamierzonem stowarzyszeniu powinni oni również położyć nadzieję ubezpieczenia się przeciw grubiaństwu szanownej publiczności. Nie znam klasy ludzi, któraby u nas była traktowaną ordynarniej i z większą wzgardą, niż kelnerzy. Ile oni w restauracyach, hotelach i handlach win nasłuchać się muszą wymysłów i znieść poniewierki od gości trzeźwych i pijanych! Jak gdyby dla wzmocnienia ich upokorzeń, język nasz zna tylko: *ty* i *pan*, a nie posiada tej formy gramatycznej w tytułowaniu (*wy* lub *oni*), którą posługują się inne. A więc każdy kelner jest *ty*, nawet dla najmizerniejszego trutnia, którego obsługuje; co najwyżej nazywa się *dwunastką* lub *ósemką*. W każdym razie wolno go zbrutalizować, zwymyślać jak ostatniego psa we fraku — a gospodarz, gdy to usłyszy, przybiegnie do rozgniewanego pana i przeprosi go pokornie za niezręczność lub nieposłuszeństwo służącego. Prawie zawsze pierwszy ma racyę, drugi — nie. Równocześnie z doniesieniem o cechu kelnerskim, dzienniki zaznaczyły sprawę rozstrzyganą w sądzie pokoju: biedny kelner został skopany przez „wesołego“ gościa za to, że ten „źle zrozumiał“ jego odpowiedź. Czy „najweselszy“ skopałby krawca, blacharza, nawet posłańca publicznego? Nie, na to można sobie pozwolić tylko z kelnerem. To jest jedna strona, a niemniej domaga się reformy druga, mianowicie stosunek kelnerów do właścicieli zakładów. Jak wiadomo, w większości wypadków stosunek ten opiera się na najmie bezpłatnym: kelner nie pobiera żadnej pensyi od swego chlebodawcy (!), lecz zbiera ją sobie z datków od gości. Pomijając wyzysk, uciążliwe i wstrętne dla tych ostatnich natręctwo wyciągniętych rąk służby hotelowej lub restauracyjnej, czy człowiek, żyjący z napiwków, z rzucanych mu wzgardliwie odczepnych, słowem, z upokarzającej żebraniny, może zachować swą godność i nie narazić się na poniewierkę? Przyszły więc cech powinien i nad tą kwestyą zastanowić się. Naszem zdaniem, dopóki jego członkowie będą karmić się i odziewać łaską gości, dopóty nie wydobędą się ze swego upośledzenia.

Niejedna suknia balowa wywołuje w pismach więcej wrzawy, niż fakt wstąpienia kobiet do warszawskiego oddziału Towarzystwa pop. rusk. przemysłu i handlu. A przecież jest to wypadek niezwykły i postęp znaczny. Ponieważ jest to jedna z niewielu instytucyj, która nie wyprawia żadnych balów, więc te panie zapisały się do jej członków bez nadziei i zamiaru zabawy. I po cóż? Dla przedstawiania i obrony potrzeb i interesów kobiet pracujących. Nareszcie! Nareszcie z tej sfery wyszło coś innego, niż jałowe rozprawy o emancypacyi, przedsięwzięcia kwestarskie, pomysły do rautów i... nowelki. Jeżeli wstrzymujemy się z oklaskiem, to tylko dlatego, że widzimy dopiero dobre chęci.

Gazeta polska opowiada nam ciekawą historyę, którą wydałaby się bajką, gdyby codzień nie potwierdzała się w najrozmaitszych odcieniach. Delegacya nawozowa przy sekcyi rolnej tutejszego oddziału Towarzystwa pop. rusk. przem. i handlu udała się do „chemików *zagranicznych* z prośbą o niezbędne dla ogółu ziemian analizy gruntu w związku z próbami nawozowemi.“ Pracownia Merkera w Halli podjęła się tych rozbiorów za najniższą cenę (1,012 rs. za 220 próbek 1—1½ litrowych). W ogłoszonym przez delegacyę konkursie między chemikami tutejszymi i zagranicznymi najprzystępniejsze oferty, oprócz Halli, złożyły: Berlin, Wrocław i Poznań. „Tutejsi zaś chemicy — według *Gazety* — podali *najbardziej wygórowane* warunki, bo za tę samą ilość próbek żądali rs. 2,400 i dopiero gdy się dowiedzieli o niższych cenach, przez Merkera przedstawionych, zniżyli swoje wymagania do rs. 1,500.“ Ale i ta suma przewyższała ofertę Halli o 500 rs., więc oddano robotę pracowni niemieckiej. Wszystko to nie jest żadnem zmyśleniem, lecz faktem. Ażeby on zajaśniał w całej pełni, trzeba go zestawić z innymi. Wiadomo, że u nas masa młodych ludzi z wykształceniem uniwersyteckiem skarży się na brak pracy; wiadomo również, że kraj nasz pod względem ziemi jest obszarem zagadek; wiadomo dalej, że gdyby analizy były tanie i dokonywano ich na miejscu, nie 220, ale 600 lub 800 prób przysłanoby do pracowni. A więc w kraju z glebą niezbadaną, w społeczeństwie pragnącem mieć wreszcie naukowe wskazówki rolnicze i posiadającem „nadmiar inteligencyi,“ analizy ziemi obstalowywane są w Halli, a miejscowi chemicy wymagają za nie więcej, niż niemieccy. Brak tylko jeszcze jednej rzeczy do tego garnituru, mianowicie ażeby Merker powierzał im roboty i pod swoją firmą odsyłał sprawozdania polskim interesantom. Byłoby to w najzupełniejszym porządku. Bo jeżeli my produkujemy chmiel i nasiona roślin pastewnych (patrz artykuły w *Słowie*), które od nas kupuje zagranica, a my je nabywamy od niej, to dlaczegóżby podobna wymiana, świadcząca o naszym rozumie ekonomicznym, nie miała się odbywać w analizach ziemi, tem bardziej, że nasi chemicy z pewnością mniej by żądali od Merkera, niż od warszawskiej sekcyi rolnej. Niestety, zrobiono już zamach na ten wspaniały rozwój stosunków międzynarodowych, który pozwalał nam wyręczać się obsługą niemców w tak prostej sprawie. Bo oto — jak zapewnia *Gazeta polska* — w dobrach wilanowskich (w Służewie) ma powstać pracownia, zajmująca się rozbiorem ziemi i nawozów. A więc zerwiemy tak miły i zaszczytny związek z Hallą? Co do mnie, jeszcze nie ręczę.

Dobry los w chwili tych smutnych rozmyślań uśmiechnął się do nas wesoło. P. Rybka, swojski magik, urządził publiczne przedstawienie, na którem wykonał wszystkie cuda mediumiczne Eusapii, podobno z daleko większem jeszcze powodzeniem. Czy on to zrobił zapomocą zwykłych środków kuglarskich, czy też według słynnej teoryi „rozszczepiania się rąk i nóg“ — nie wiemy. W każdym razie ogarnia nas zadowolenie i duma, że u siebie posiadamy własne źródło „nowej i nieznanej siły“ i nie potrzebujemy go sprowadzać kosztownym transportem aż z Neapolu. To więcej znaczy, niż zdobycie drzewa pomarańczowego, którego owoce dojrzewałyby w naszym klimacie. Ale... ach, trzeba wszystko przewidzieć! — ale czy jakiś naród, pozazdrościwszy nam p. Rybki, nie zechce nam go tak zabrać (rozumie się dla wzbogacenia nauki „nowemi prawdami“), jak my zabraliśmy Włochom Eusapię? Wolałbym być grekiem i utracić piękną Helenę. *A propos*. Kiedyż dla pięknego libretta z motywów mediumicznych narodzi się nowy Offenbach!

Poseł Prawdy.

W DALI.

Mieszkania. W ostatnich latach różnorodne gałęzie przemysłu ogarnęły szerokie przestrzenie prowincyi; życie tam kipi gorączką. Pomijamy wszelkie kopalnie, które ściśle są związane z miejscowością, uposażoną przez naturę w bogactwa przyrodzone. Ale śledząc ten ruch od dawna dość uważnie, spostrzegliśmy znamienne zjawisko — tworzenie nowych zakładów przedsiębiorczych na wsi, z tej kategoryi, którą przywykliśmy widzieć w środowiskach wielkomiejskich, a przynajmniej ich pobliższych okolicach. Świeżo pod Lublinem na Firlejowszczyźnie otwarto fabrykę „portland-cementu“ z kapitałem zakładowym rs. 200,000. W Chełmie przy fabryce pieców berlińskich i majolikowych, powstaje oddział wyrabiania polewy, którą dotąd sprowadzano z zagranicy. Nadto, niektóre ogniska pracy przenoszone są z miast wielkich na prowincyę, tak np. warsztaty kolei Wiedeńskiej, zatrudniające liczną armię robotniczą, wkrótce się rozsiądą w Pruszkowie. Nie wiem, jakie pobudki skłoniły do tego zarząd drogi żelaznej; prawdopodobnie brak miejsca w Warszawie, gdzie już na znacznej przestrzeni budowle tej kolei ciasno się skupiły.

Po tym rozroście fabryk, zakładów przemysłowych i wszelkich warsztatów na prowincyi śród szerokiej wolnej przestrzeni, należałoby się spodziewać warunków hygienicznych o wiele znośniejszych niż w wielkich rojowiskach pracy. W rzeczywistości jest atoli inaczej. W osadach fabrycznych, jak np. w Dąbrowie górniczej, Sosnowcu, Sielcach robotnicy czują dotkliwy brak mieszkań, okropną ich ciasnotę i drożyznę. Już na zeszłorocznym zjeździe górników w Warszawie zwrócono uwagę na ten fakt charakterystyczny, że liczne gromady robotników codzień przybywają do zakładów wprost z domu, odległego częstokroć o wiorst kilka, a nawet kilkanaście i to znaczna ich liczba przebywa tę drogę pieszo tam i z powrotem. Pomyśl-

my, ile to czasu i energii pochłania! Robotnik musi wstać o parę godzin wcześniej niż jego towarzysze, mieszkający przy zakładach; musi również o parę godzin później iść na spoczynek. Nietylko więc urywa sobie parę godzin snu, ale jeszcze przybywa zmęczony do pracy całodziennej. Pomyślano o zniżonej taryfie na przejazd dla nich kolejami. To trochę czasu i sił zaoszczędzi niektórym, ale zło pozostanie złem, tylko nieco w mniejszym stopniu. O środku praktyczniejszym i bardzo korzystnym dla samych przedsiębiorców, tj. o budowie specyalnych wygodnych pomieszczeń dla robotników, nic dotąd nie słychać i, rzecz dziwna, że nawet spekulanci nie chcą skorzystać z ogromnego popytu na lokale, wybudować w takich miejscach domów odpowiednich. Jacyś aferzyści sprytniejsi ocenili dobrą sposobność tylko w Warszawie i podobno postanowili wznieść pomieszczenia dla robotników w okolicy podmiejskiej.

W gminie Czyste, po za wsią tej nazwy, pomiędzy przedmieściem Wolą i stacyą przeładunkową kolei Wiedeńskiej, powstała nowa osada fabryczna w ciągu sześciu lat ostatnich. Najpierw wzniesiono fabrykę gazową, przy której niedawno otworzono oddział przetworów chemicznych. Tuż obok intendentura wzniosła cztery elewatory zbożowe wraz z olbrzymimi magazynami, gdyż oprócz żołnierzy pracuje kilkuset płatnych robotników. Dalej wyrosły nowe gmachy na przędzalnię i apreturę (firmy „Szlenker i Rutiński"). Nadto zakłady chemiczne, fabryka obić papierowych, młyn parowy, olejarnie, wreszcie stacya towarowa, gdzie są bezustannie przerzucane ładunki, wszystko to skupia kilka tysięcy robotników, z których większość nie ma żadnego tam pomieszczenia. Dawniej (jak twierdzi *Słowo*), w okolicy tej płacono sześć rubli kwartalnie za izbę. Osada fabryczna powstała i wzrosła olbrzymio, a o domach mieszkalnych nikt nie pomyślał. Natomiast właściciele dawnych pomieszczeń, wpadli na sposób wielce zyskowny; podzielili izby przegródkami na drobne klateczki, a komorne — potroili. Tam więc, gdzie dawniej mieszkała jedna rodzina, dzisiaj mieści się po parę. Mieszkańcy tych dziur wynajmują jeszcze od siebie kąty sublokatorom. Tym sposobem w kilkudziesięciu nędznych a intratnych ruderach rozsiadła się ludność kilkotysięczna. Jeżeli więc przedsiębiorcy budowlani zechcą sprawę traktować rzetelnie, zrobią na tem dobry interes, a warstwom robotniczym dadzą udogodnienie.

Nie możemy pominąć faktu oszczędności czy niedbalstwa w tym względzie kolei Wiedeńskiej. Jej biura dla niższej służby nawet u podnóża zarządu pozostawiają wiele do życzenia, szczególnie w oddziale towarowym. Ale zajrzyjmy do wnętrza zabudowań stacyjnych wzdłuż linii. Zaledwie parę stacyj znaczniejszych posiada jakie takie lokale dla wędrownej służby, w większości wcale ich nie ma lub są pomieszczenia zaledwie zdatne dla czworonogów. Tymczasem kolej ma zwyczaj wysyłać pewną garść swych urzędników na zastępstwa lub do pomocy w razie zwiększonego ruchu, choroby albo urlopu pracownika stałego, który sam mając szczupłe mieszkanie, nie może przyjąć przybysza, zresztą nie czuje najmniejszego obowiązku do takich usług dla kolei. Ona też, a raczej jej sternicy, nie bardzo tem się martwią, a wysłaniec powinien ćwiczyć cnotę zaradności w swoim charakterze. Jakoż posłuszny programowi tej pożytecznej szkoły, wyrabia w sobie hart, ruchliwość i — łatwość godzenia się z losem. Przyjeżdża codzień z miejsca stałego zamieszkania na robotę i po całodziennych trudach odjeżdża znowu do domu, czyli robi tak, jak górnik z okolic Dąbrowy. W ten sposób na rzecz dywidendy akcyonaryuszów czyni ofiarę z kilku godzin snu i wypoczynku, nadto zwiększa ich zyski w dziale pasażerskim, otrzymuje bowiem bilet bezpłatny na przejazd jednorazowy, więc jeżeli znajdzie znajomą służbę pociągową, jedzie darmo, jeśli zaś trafi na obsługę osobiście nieznaną, musi kupować bilet, jak zwyczajny śmiertelnik. Szkoda, że zarząd, zajęty ważnemi sprawami gospodarki i dochodów, nie ma czasu zwrócić uwagi na ten szczegółik. Skoro wybudowanie na wszystkich stacyach odpowiednich pomieszczeń nie jest w zgodzie z finansami przedsiębiorstwa, to niechże przynajmniej przedstawiciele jego steru uczynią ulgę dla swych urzędników wędrownych, tj. niechaj ich obdarzą raz na zawsze prawem bezpłatnego przejazdu w interesach kolei.

Drogomir.

Lublin. Miasto dość ruchliwe w zakresie filantropii, dotychczas nie zdobyło się jeszcze na ważną instytucyę — przytułek dla rekonwalescentów, wychodzących ze szpitalów. Sprawę tę szeroko rozbiera korespondent *Kuryera warsz.* i zwraca uwagę na to, że ludność, korzystająca z pomocy szpitalnej, należy do warstw ubogich, ciężko pracujących. Rekonwalescent po powrocie do domu (jeżeli go ma), nie posiada zaoszczędzonego grosza, ani też do zarobku wziąć się odrazu nie może. Wyjście zatem z pod opieki zakładu leczniczego bywa częstokroć pierwszym krokiem do żebraniny. Lublin posiada cztery szpitale, utrzymywane z zapisów i zwrotu kosztów. Według sprawozdania rady gubernialnej opieki publicznej (1892 r.), w szpitalu św. Jana leczyło się 463 osoby, wyzdrowiało 391, w szpitalu św. Wincentego było 1,109, wyzdrowiało 802, w Jana Bożego 544, wyzdrowiało 382, w szpitalu żydowskim 1,218 wyzdrowiało 389. Ogółem było chorych 3,334, wyzdrowiało 1,974. Korespondent, biorąc z tej cyfry stosunkowo najniższy 10%, przypuszcza, iż 200 osób po opuszczeniu szpitala musi się udawać do miłosierdzia publicznego. Na taką więc najmniej liczbę rekonwalescentów należałoby stworzyć przytułek, którego jednorazowe urządzenie pochłonęłoby rs. 300, całoroczne zaś utrzymanie przeszło 800 rs. Na taką sumę Lublin mógłby się zdobyć bez wysiłku. — Chełm wkrótce dla pomieszczenia szkoły technicznej będzie miał gmach własny. Powstanie on w ciągu wiosny i lata kosztem przeszło 68,000 rs. — W Lublinie otwarty będzie dom zarobkowy wraz z przytułkiem noclegowym i kuchnią tanią.

Odesa. W miejscowej pracowni bakteryologicznej w roku zeszłym leczyło się 817 osób, pokąsanych przez wściekłe zwierzęta. Procent śmiertelności był bardzo mały. Obecnie zakład ten skutkiem starań prezydenta miasta otrzyma gmach własny. — W Krymie na górze Czatyrdahu będzie otwarte pierwsze obserwatoryum górskie w Rosyi. Z wysokości 4,900 stóp (najwyższy punkt tej góry sięga 5,136 st.) można widzieć znaczną część morza Czarnego i Azowskiego. — Ciekawe są obliczenia p. Wielicyna o postępach kolonizacyi niemieckiej na południu Rosyi. W r. 1841 było tam zaledwie 286 kolonij, obejmujących 158,258 ludności i 1,053,000 dziesięcin gruntu. Po upływie pół wieku, 1891 r. liczba kolonij wzrosła do 513, ludność ich do 310,342, a przestrzeń sięga 2,775,000 dzies. Najwięcej niemców osiadło w gub. chersońskiej (104,750), dalej w taurydzkiej (71,650) i ekaterynosławskiej (64,354) i besarabskiej (59,229). Nadto w guberniach nadwołżańskich koloniści niemieccy posiadają 1,300,000 dzies. gruntu, w gub. zaś południowo-zachodnich 600,000 dziesięcin. P. Wielicyn ocenia wartość wszystkich kolonij (573) na 400 milionów rubli. — Koniec roku zeszłego i początek bieżącego jest pomyślny dla wywozu zboża za granicę. Od kilku lat mieszkańcy miasta nie pamiętają takiego ruchu w porcie. Jedna linia kolejowa, służąca dla dowozu towarów na statki, dostarcza na dobę przeszło 400 wagonów ziarna. Ruch pociągów na stacyi Odesa-Port — nieprzerwany; wyładowywanie zaś odbywa się nawet w nocy przy oświetleniu elektrycznem. Oprócz tego, niezliczona masa wozów, napełnionych zbożem pokrywa wybrzeża portu i ulice przyległe. Głównym produktem wywozowym jest pszenica tudzież kukurydza; mniej — żyto i jęczmień. Na składzie obecnie znajduje się w Odesie około 2 i pół mil. czetw. pszenicy (w tem sporo sandomierki), jęczmienia około 750,000, żyta niespełna 350,000 czetw.

Wilno. Urzędownie ogłoszono, iż w niektórych pomniejszych miastach kraju północno-zachodniego, zamiast obecnego samorządu, wejdzie w życie zarząd uproszczony. — Stosownie do świeżo wydanych przepisów, apteki miejscowe i dentyści zmniejszają liczbę uczniów żydów do 5% w stosunku do ogółu. Dotychczas procent tej kategoryi uczniów sięgał 50%. — Niedawno do komisyi sanitarnej zostali wybrani następujący lekarze: Borodzicz, Guricki, Kleczkowski, Rodziewicz, Sawicki i Sławiński.

Moskwa. W ministeryum skarbu złożono podanie dziewięciu firm handlowych moskiewskich o koncesyę na stowarzyszenie, które zajmowałoby się drobnym handlem cząstkowym za pośrednictwem roznosicieli. Głównym przedmiotem handlu mają być towary łokciowe; obejmie on zaś gubernie: smoleńską, mińską, mohylewską i czernihowską. Za pomocą Towarzystwa roznosicieli, firmy moskiewskie zamierzają współzawodniczyć z „węgrami," a raczej słowieńcami i z czasem zupełnie ich usunąć.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Bank włościański. „Działalność Banku włościańskiego w kraju tutejszym — pisze *Warsz. Dniew.* — dała rezultaty znacznie mniej zadawalające, niż się spodziewać należało. Zamożniejsi nabywcy zpośród włościan wolą nieraz kupować grunty od większych właścicieli ziemskich bez pomocy owego Banku, a powodzenie tej instytucyi utrudnił dość wysoki procent pożyczek, szczególnie zaś liczne formalności, których załatwienie zbyt wiele kosztuje nabywców." Oprócz tego, oddziałały jeszcze inne przyczyny: względnie wysoka cena gruntów, nabywanych przez włościan z pożyczką bankową. Ceny ziemi w majątkach większych właścicieli na subhastacyi bywają bardzo nizkie i okoliczność ta, jak twierdzi organ powyższy, powinnaby wpłynąć na ceny gruntów, sprzedawanych ludowi. Majątki te wszakże nabywają zwykle spekulanci na licytacyach, a od nich dopiero z drugiej ręki przechodzą w całości lub częściowo do włościan z dobrym zyskiem sprzedawcy. Oto przykład: wierzyciel hypoteczny kupił dobra, złożone z 30 dziesięcin ziemi za 30,000 rs. i po trzech latach sprzedał z udziałem Banku włościańskiego tylko ziemię prawie za tę samą cenę, a nadto za las, inwentarz żywy i martwy, siano, koniczynę, słomę i wszelkie budowle otrzymał przeszło 20,000 rs. Nabywcom zaś, oprócz gruntu, dostarczono po dwa korce żyta i tyleż owsa do zasiewu i ani garści siana, nawet słomy, a tem trudniejszem było zagospodarowanie, iż ziemia w tym majątku jest licha. Są inne, również ciekawe przykłady. Niedawno *Gaz. lubelska* zaznaczyła, że w pow. zamojskim sprzedano majątek Kąty, 2,400 dziesięcin, za sumę 120,000 rs., tj. po 50 rs. za dziesięcinę. Nabyła te dobra spółka przemysłowa „Ginsberg i S-ka." Mieszczanie sąsiedniej osady Frampol dają za ten majątek po rs. 260 za dziesięcinę gruntów ornych, tj. więcej niż pięciokrotną cenę kupna „spółki przemysłowej. Z tego powodu *Warsz. Dniew.* pisze: „Czas już położyć kres takiemu „przemysłowi," nazbyt korzystnemu dla spekulantów, a krzywdzącemu zarówno właścicieli majątków, sprzedawanych na licytacyi, jak i włościan, kupujących je z drugiej ręki. Oczywiście pośrednictwo takich „spółek przemysłowych" i pojedynczych przemysłowców należałoby zastąpić innem, mniej kosztownem dla stron interesowanych. Takie pośrednictwo najwłaściwiej należy się Bankowi włościańskiemu, gdyż z liczną gromadą spekulantów walczyć może tylko instytucya silna pod względem finansowym. Różnica między ceną li-

cytacyjną a rzeczywistą wartością majątku przekonywa, że przy umiejętnem prowadzeniu interesu nie może być mowy o jakiejbądź stracie dla Banku, który zresztą ma wolny wybór majątków sprzedawanych i oznacza cenę, której pełnomocnik jego nie przekroczy na licytacyi."

— Do ministeryum skarbu przesłano kilka podań z prośbą o zastosowanie stanowczych środków przeciwko zmowie towarzystw ubezpieczeń od ognia, które porozumiewając się wzajemnie, ustanawiają wysokie premia od maszyn i narzędzi rolniczych ze szkodą rolników.

— *Rusk. Żizń* pisze, iż w tych dniach otrzymano w Petersburgu notę rządu austryackiego, jako odpowiedź na ostatnie wnioski ministeryum skarbu w sprawie umowy handlowej rusko-austryackiej. Pewną jest rzeczą, iż układy toczą się zgodnie, do Wiednia prawdopodobnie wysłani będą delegaci ruscy w tym samym komplecie, co na naradach berlińskich, z wyjątkiem niższych urzędników.

— Wkrótce na kolei Terespolskiej rozpocznie się wydawanie pożyczek na zastaw zboża. Zgodnie z postanowieniem minisira skarbu, kantor Banku państwa w Warszawie otwiera w tym celu kredyt do wysokości 100,000 rs. i obejmie kierownictwo działań tudzież rozstrzyganie wszelkich nieporozumień i wątpliwości w tym względzie.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Z powodu rozporządzenia policyjnego, nakazującego, ażeby usługujący w restauracyach i cukierniach warszawskich, zaopatrzeni byli w blaszki z numerami, cech cukierniczy wystąpił z prośbą o uchylenie tych postanowień względem chłopców, którzy nie są usługującymi, lecz uczniami, częstokroć dziećmi ludzi zamożnych, właścicieli cukierni, którzy chcą wykształcić swych synów na fachowych kierowników przedsiębiorstwa.

— Z procentu od funduszu wieczystego im. d-ra Józefa Chwiećkowskiego, wakują następujące zapomogi dla kandydatów-polaków, z pierwszeństwem dla krewnych zapisodawcy: 1) na dalsze kształcenie się fachowe dla młodzieży obojej płci, którzy w czasie terminowania u techników, rzemieślników lub w niższych zakładach, ujawnili wybitne zdolności do przemysłu technicznego lub rzemieślniczego; 2) na stypendya dla studentów wydziału medycznego uniwersytetu warszawskiego; 3) na premia i wydawnictwa dzieł popularnych, przyrodniczych. Kandydaci powinni wnieść podanie na ręce jednego z wykonawców zapisu, wykazać swe uzdolnienia. Wykonawcami są: dr. W. Brodowski (Warszawa, Smolna 21), dr. K. Chmielewski (Nałęczów) i A. Preiss, adwokat przysięgły (Warszawa, Świętojerska 12).

— We Lwowie rzeźbiarz, p. Popiel, został we własnem mieszkaniu przeszyty nożem przez rzezimieszka. Artysta ma płuca uszkodzone.

— Prezes regencyi kwidzyńskiej pozwolił robotnikom z Królestwa, obojej płci, przyjmować robotę od 1 kwietnia w zakładach przemysłowych i na roli, z wyjątkiem zajęć przy drogach i kolejach.

Szkoły. Uczniowie szkoły technicznej kolei Wiedeńskiej i młodzież, mieszkająca po za Warszawą, dla uniknięcia niestosownego towarzystwa w wagonach III klasy, otrzymała prawo na bilety II-ej, bez względu na to, jaką klasą ojciec ucznia jeździ.

Sprawy kolejowe. Główne warsztaty wagonowe kolei Wiedeńskiej przeniesione będą do Pruszkowa; roboty rozpoczną się na wiosnę. Obecne przy ul. Żelaznej będą przeznaczone wyłącznie na naprawę wagonów osobowych.

— Inż. kolei Południowo-Zachodnich, p. Stefan Zwoliński, obmyślił kapy ochronne do parowozów. Są już one opatentowane przez kilka państw europejskich. (*Kuryer warsz.*).

— Dla emigrantów, wyjeżdżających z państwa ruskiego tudzież powracających, znacznie zniżono taryfę ne wszystkich kolejach.

— Od 3 marca rozpoczynają się narady w sprawie reformy taryfy pasażerskiej.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 Февраля 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.